
№ 4
TEATR
ŻYCIE WYTWORNE
CENA 1.50
T. GRONOWSKI



TAPETY

(OBICIA PAPIEROWE)

OD NAJSKROMNIEJSZYCH
DO NAJBARDZIEJ
WYKWINTNYCH
POLECA

F. STASZEWSKI

FABRYKA WŁASNA

WARSZAWA

Mazowiecka 8, telefon 70=85.

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

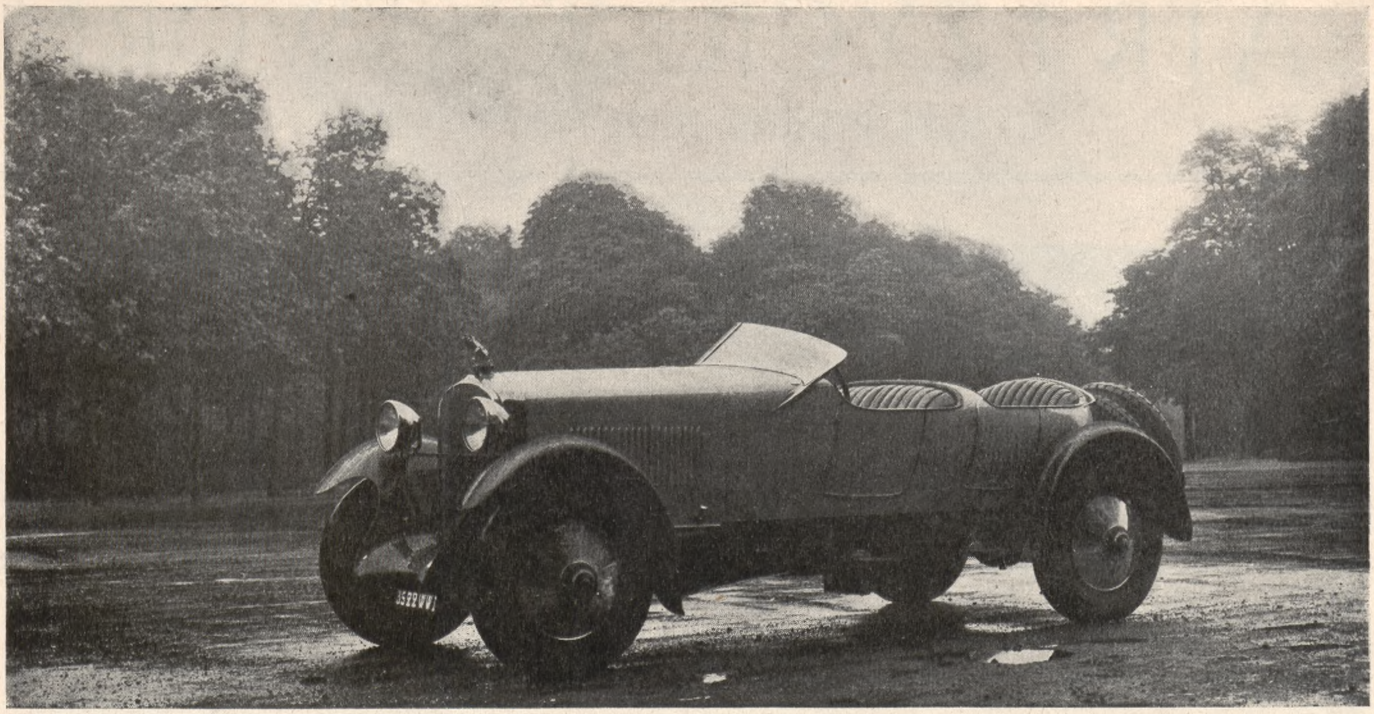
ROK II № 4

1184 III

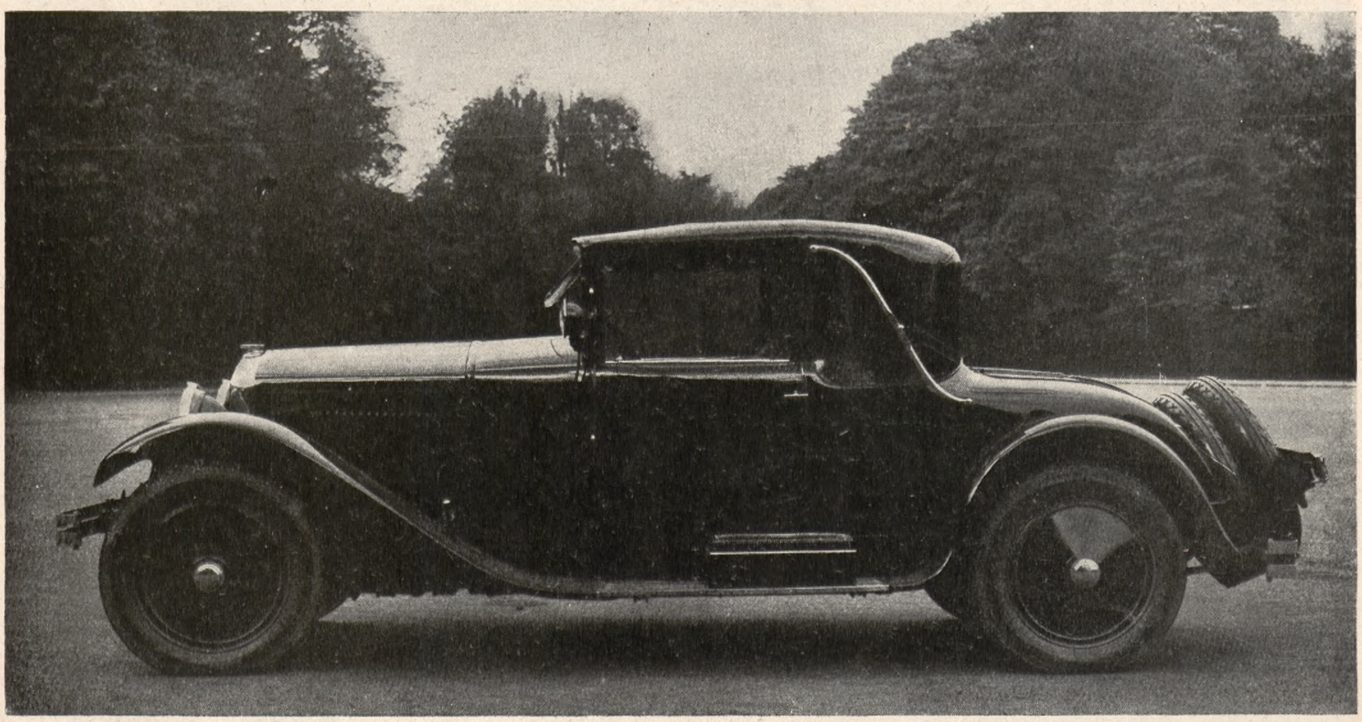


NA BALU KOSTJUMOWYM

Akc. Nr: 1298 A. 29



Peugeot

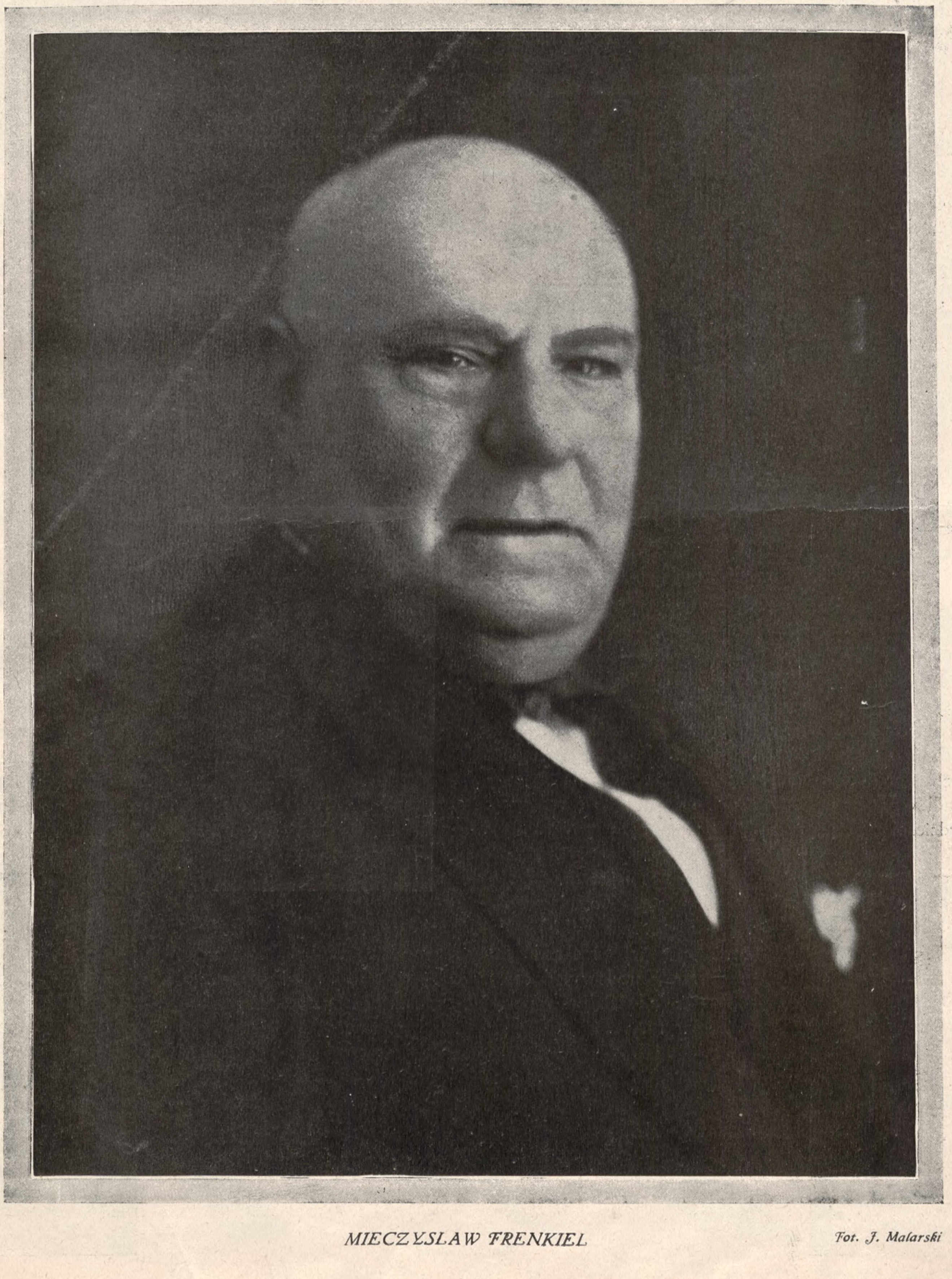


SALON WYSTAWOWY WARSZAWA, MONIUSZKI 5
TEL. 293-99

Teatr i Życie Wytworne

ROK II — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 4

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, CZACKIEGO Nr. 8. TELEFON 307-23.



MIECZYSŁAW FRENKIEL — *Fot. J. Malarski*





STEFAN KRZYWOSZEWSKI

MIECZYSŁAW FRENKIEL

(W 50-tą rocznicę pracy aktorskiej)

Jubileusz Frenkla jest rzetelnem świętem teatralnem. Talent z Bożej łaski. Pięćdziesiąt lat na scenie. Całe życie, poświęcone wyłącznie pracy w teatrze. Frenkiel nie miał nigdy



fałszywych ambicji — tych ambicji, które znakomitego malarza Ingres'a czyniły lichym skrzypkiem. Był i jest wielkim aktorem. To mu zawsze wystarczało. Mógł był śmiało sięgać po zaszczytne, kierownicze stanowiska w teatrze. Uchylał się. Nie chciał. Uważał, że dość jest być — Frenklem.

I jakże miał słuszność! Lepsi lub gorsi reżyserowie i dyrektorzy zmieniają się, przechodzą, a wielki artysta zostaje. Talent jest silniejszy od wszelkich konjunktur politycznych, koteryjnych, przypadkowych. Frenkiel miał to szczęście, że talent jego zaświecił nieomal odrazu. Gdy po kilkuletnim pobycie w Krakowie i Lwowie, pierwszy raz przyjechał na gościnne występy do Warszawy, poprzedzała go fama:

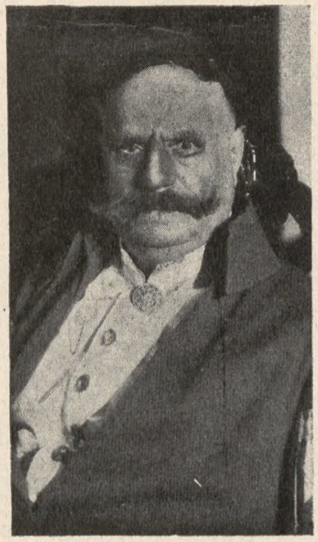
— To będzie następca Żółkowskiego.

Był wtedy młody, nie miał jeszcze trzydziestu lat, a już zdawano nań tak ciężki i sławny spadek. Po tych występach gościnnych wprędce przeniósł się do Warszawy na stałe — i jak osiadł w Teatrze Rozmaitości, nie ruszył się zeń przez lat czterdzieści zgórą. Nie dał się wytrącić z równowagi przejściowym kryzysom, nie dał się skusić najpowabniejszym propozycjom. Został wierny pierwszej scenie polskiej, doczekał się jej przekształcenia na Teatr Narodowy, doczekał się — cokolwiek przedwczesnej emerytury.



Talent Frenkla jest tem szczególnie cenny, że nie obciąża go chłodna refleksyjność, że wykwita spontanicznie, naturalnie, żywiołowo. Główne jego cechy — to humor jasny, pogodny, czasem trochę rubaszny, zawsze bardzo polski — i uczucie delikatne, pozbawione czułostkowości — uczucie serdeczne, chwytające głębią szczerości. To były zawsze w talencie Frenkla najdrogocenniejsze klejnoty. Posiadając je, w niedościgalnej pełni, nie potrzebował nadmiernie cyzelować swej sztuki. Wystarczała mu szlachetna prostota, poparta nieskazitelną dykcją, znakomicie wyrazistą mimiką, niezrównaną wytrzymałością gestu.

Widziałem misterne kreacje aktorskie, które budziły podziw. Artysty, któryby w równie doskonałym stopniu łączył humor ze wzruszeniem, jak Frenkiel, nie spotkałem. W tym cudownym aliażu było zawsze ciepło — ciepło swoje, serdeczne, kochane, które sprawiało, że gdziekolwiek Frenkiel się pokazał, na scenie, w cukierni, na ulicy, wszystkie twarze rozjaśniały się radosnym uśmiechem.



— Frenkiel! Nasz Frenkiel!

Aktor rdzennie polski, w polskich sztukach musiał najświetniejsze święcić tryumfy. Stworzył długi, nieskończony łańcuch niezapomnianych postaci, które pozostaną w pamięci, a które utrwalić musi historja teatru. Bo w tej historji nazwisko Frenkla będzie złotemi zgłoskami wypisane.



Fot. J. Malarski.



ŚPIESZ SIĘ POWOLI..



STANISŁAW MIŁASZEWSKI

DON KISZOT

Noc umie stąpać cicho i niepostrzeżenie,
Na mrocznem ciele nocy bicze gwiazd się złocą,
Splotły się z cieniem czarnym szczęścia jasne cienie
I co noc – miłość bierze zaślubiny z nocą.

Już księżyc – książę nocy – w przestworzach migoce,
Księżyc, senne marzenie ziemi ociemniałej;
Tem jaśniejszy, im głębiej zanurzon w pomroce,
Gdy noc jemu, on nocy chce się oddać cały.

Ja, stojąc oko w oko i tarcz w tarcz z miesiącem,
Widzę cuda tęsknoty, co się w niebie dzieją:
Księżyc jest Don Kiszotem, a noc – Dulcyneją,
Dulcyneją, w olśnieniu utajoną drżącem.

On gna po chmurach, światło po wądołach włóczy,
Srebrem bije gościńce ponad mórz otchłanią,
Przedziera się przez rudą czerń gradowej tuczy,
Bieży na kres bezkresu – za nią, za nią, za nią!

(Fragment z utworu, który wejdzie wkrótce na repertuar Teatru Polskiego).

BRUNO WINAWER

WSPOMNIENIA

Widocznie nadszedł już czas... I ja muszę sięgnąć do skarbnicy wspomnień i rozpoczynać artykuły w pismach od smutnego wyrazu: pamiętam...

Otóż pamiętam najświetniejsze bodaj chwile teatru warszawskiego. Niktby się tego nie domyślił: jestem jednym z najstarszych bywalców premjerowych w tem mieście.

Dawno już temu, bardzo dawno miałem lat osiem. Nasz najbliższy sąsiad, lokator z parteru, siwy i rumiany pan Maruszewski, był kontrolerem w «Rozmaitościach». Odwiedzał nas często, grywał z braćmi w winta, ze mną w szachy. Czasami rewizytowałem mego poczciwego partnera w jego wspaniałym gmachu i zaglądałem przy tej okazji do sali teatralnej. Pan Lewandowski wygrywał w antraktach wesołe obertasy, ale na scenie działy się przeważnie straszne rzeczy. Zawsze pod koniec sztuki ktoś przynosił złowrogie pudełko drewniane, poczem dwaj panowie w tużurkach strzelali do siebie z długich pistoletów. Pif i paf — co wieczór. Już w latach młodocianych wąchałem proch i dziw doprawdy, że nie zostałem militarystą, jenerałem artylerji, posterunkowym.

Nieporozumienia małżeńskie i pojedynki nie zajmowały mnie — siedziałem struchlały w ostatnim rzędzie i błagałem pana Maruszewskiego, kontrolera, żeby poszedł do aktorów i załatwił tę sprawę polubownie. Pan Maruszewski odymał policzki—taki już miał zwyczaj staruszek — dmuchał groźnie, sapał i milczał.

Zdarzały się i jaśniejsze, pogodniejsze chwile. Byłem zakochany poprostu w baronowej Lued. Tak jakoś umiała wszystko zawsze wykręcić, że nikt do nikogo w trzecim akcie nie strzelał. Mąż się uśmiechał do przyjaciela, przyjaciel do męża i zapominali obaj o pudełku. Kiedy grała Luedowa można było bezpiecznie, nie narażając życia, siedzieć nawet w pierwszym rzędzie krzeseł.

Razu pewnego zawędrowałem też prawie przed samą rampę, wgłębiłem się w fotel poważny i zlekka kiwając nogą, jak przystało na bon-vivanta warszawskiego, oceniałem okiem znawcy sztukę uwodzicielską wielkiej aktorki. Pani baronowej spodobał się snać ów widz ośmioletni. Grała tylko dla mnie. Każda replika, każda «kwestja», ba, każde zmrużenie oka było widocznie przeznaczone dla mnie. Nawet sąsiedzi z dalszych rzędów zwrócili na to wreszcie uwagę. Stałem się punktem centralnym całego spektaklu, osią—że tak powiem—kulminacyjnego aktu. Uśmiechy, szepty — dwie czy trzy lornetki teatralne wycelowano wyraźnie w moją wątłą osobę...

Chwila była, krótko mówiąc, okropna. Zbladłem i dech mi w piersiach zaparło. Wolałbym, żeby dwóch «właścicieli kuźnic» strzelało z armat do piętnastu «ubogich młodzieńców».

— Naturalnie — rozumowałem. — Taka sprytna, mądra osoba, jak pani Luedowa domyśliła się odrazu, że ja tu siedzę bez biletu. Co to będzie? Pan Maruszewski straci posadę... Wyrzucą nas obu—mnie i jego...

Wiele—jak powiadam—lat upłynęło od owych czasów i pan Maruszewski dawno już nie żyje. Któregoś tam roku—zaraz po wojnie—wystawiłem sztukę w sławetnych «Rozmaitościach». Posadzono mnie za kulisami na miejscu honorowem, między strażakiem i sporą baryłką, wypełnioną wodą. Aktorzy, którym grać kazano po sześciu próbach, biegali między zapaćkanemi płótnami, mój «rycerz z łabędziem» nie chciał wyjść na scenę, bo rewolwer nie mieścił się z jakichś tam powodów w jego kieszeni. Nikt nie umiał roli i wszyscy patrzyli na mnie złem okiem.

I znów blady i drżący poruszałem blademi wargami: Co to będzie?

Nagle, z najgłębszej otchłani wypływa na powierzchnię owo wspomnienie z lat dziecinnych... Tak! że mi to wcześniej na myśl nie przyszło. Autor sztuki i widz, który siedzi w krzesłach bez biletu, «na gapę», są połączeni jakimś tajemnym, mocnym, mistycznym węzłem...

To są wogóle jedyni ludzie, których dzisiejsze widowisko teatralne naprawdę do głębi wzrusza. Czasem jeszcze zamienią człowiekowi palto w szatni.

Ale to się dzieje po spektaklu i tych wrażeń właściwie na konto nowoczesnego kunsztu dramatycznego zapisywać nie wolno.



JANET GAYNOR
artystka Fox-Filmu, odtwórczyni roli głównej w doskonałym filmie p. t. Wschód Słońca



HR. ADAM POTOCKI
podróżując po Europie, przybył do Florencji na swej limousin'ie Austro Daimler. Na tej maszynie brał hr. Potocki zwycięski udział w Wyścigach Lwowskich w czerwcu 1927 r.

PETRONIUSZ

OPOWIEŚĆ O PANIEJ Z EFEZU
CZYLI
CNOTLIWA MATRONA



Była=ć niegayś w grodzie Efezie pani,
Dama piękna, szlachetna, cnót matronich
Tak wysokich, że pany i poddani
Mówili o nich.

Sławią cnotę jej grody wokół, sioła,
Senator, kmiotek, panna li, otrok, dziad li
Admirować ją szli, jak ten cud zgoła, —
Na przykład kładli.

W sławie dama lśni jako w słońcu, ażci
Parki przetną mężową nić żywota.
Zbywszy męża w śmierci srogiej przepaści,
Swój los w nią miota.

Mało mócby powiedzieć, że szaleje:
Piersi rani, rozpuszcza włos zmierzwiony,
Niczem Porcja kwili w swej beznadzieje
Osieroconej — —

Za rydwanem, łzami zalawszy oczy,
Na ostatnie iazie cmentarne staje,
Tu w mogiłę pod grobsztyn zimny wkroczy,
Z trupem ostaje.

Ranek widział przy trumnie ją mężowej,
Noc następna — takoż, i pięć nocy — — —
Tak bez jadła, gorzkiemi łkając słowy,
Trwa w żałobnej mocy.

Rzadki przykład. Oto=ć małżeńska wiara!
Wzorze ofiar! Ty nie wiesz, co — pociecha?
Darmo świat cię ku sobie wrócić stara,
Aż i poniecha...

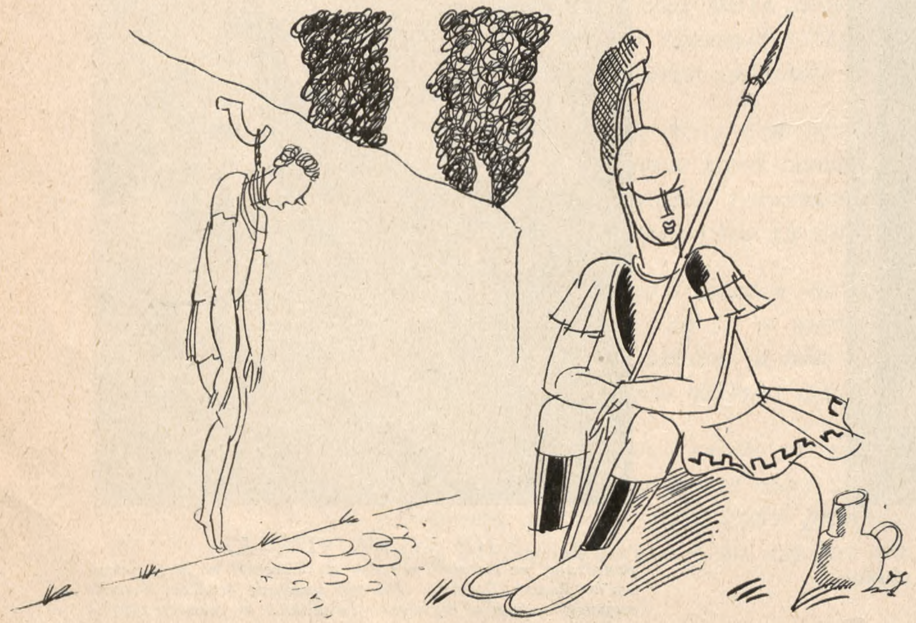
Po namowach i bezskutecznych słowach
Władze, druchny i krewni cię odeszli.
Otoś sama. Grobu zapadła brama.
W nim=że zginiesz li?

Jedna=ć tylko ostała wierna raba.
Ta — przy tobie, swe łzy z twojemi miesza
I mogilną lampę, od głodu słaba,
U stropu wiesza.

W grodzie zaś Efezie pospólna gadka
Za ofiarę odtąd matronę miała.
I szła krajem wić o wierności rzadka
I chlubna chwała.

Owóż tedy w tym czasie tak się zdarza,
Iż był łoter przez sędzie strykiem skaran.
Zawisł na haku tuż przy furcie cmentarza,
Jak w rzeźni baran.

I postawion przy szubienicy wartą
Żołnierz młody, któremu nakaz dano,
Aby zwłok przez krewnych z haka nie zdarto
I nie grzebano.



Stoi żołnierz, wytęża wzrok w pomroce, —
Aż w cmentarzu światło mu się wydaje.
Śmiało kroczy na ognik, skąd migoce,
Zdumiony — staje.

Pod grobsztynem kobiecie dwie obaczy,
Żałobnice tęgim głodem zmorzone,
Po urodzie, trupie i po rozpaczy
Poznał matronę.

Tedy hyżo po swoje jadło bieży
I przyniósłszy, do pięknej zwrócon wdowy,
Stawiąc wino i chleba bochen świeży
Rzekł temi słowy:

„Skoro=ć męża śmierć wzięła z tego świata,
„Że ty z głodu pomrzesz, co mu pomoże?
„Miast kontrować boskich wyroków fata,
„Jedz, pij — nieboże!..."

Ale ona tą mową aż do żywa
Oburzona, swe szaty znów rozdziera,
Pierś kaleczy i z głowy włos wyrywa,
Ze łkań obmiera.

Żołnierz przecie nie zraża się odmową,
Jeno patrząc na wdzięczne jej członeczki,
Nadal błaga, by się wzmocniła owo
Chociaż troszeczki.

Wreszcie raba głodowi nie podoła,
Podje sobie i osłabienia zbywszy,
Uporowi swej paniej stawi czoła
W tenor goaziwszy.

„Pani, trup ten (pry) czy się martwi tobą?
„Kto się roaził, potrzeba, że umiera.
„I co wskórasz ponurą twą żałobą?
„Nic a nic – wiera!"

„Harc śmiertelny, iż męża pchnął na mary
„Jasno=ć mówi, że bogdaj żywią żywi.
„Trupa tego zbawi co z twej ofiary?
„Czy uszczęśliwi?...."

„A żywego ofiara dla cię, pani,
„Da ci znowu radość smakować życia,
„Przyjm więc, co=ć ten żołnierzyk złożył w dani
„Z jadła i picia."

I tak oto wciąż na przeróżny manier
Przemawiała do niej raba przebiegła,
Pokąd dama, obstać nie będąc w stanie,
Wreszcie – uległa.

Żołnierz znowu: „gdy raz już duszę twoją
„Śmierci sztychy przeszyły tak bolesne,
„Na tem – basta! dziś raczej ci przystoją
Sztychy cielesne."

„Otrzej oczy, zgaś płomień żałobniczy,
,Niech wewnętrzny płomień w tobie zagości, –
„Toż w kanarach nie znajdziesz tak słodyczy,
„Jako – w miłości!"

Słowo – czynem. Obrona – chwiejną, płoną.
Natarczywy atak dzieła dokona:
Z oburzonej stała się obu żoną
Zacna matrona.

Odtąd żołnierz dnie i noce szalone
Na kochaniu spędza miast na patrolu, –
A gród Efez już mniema swą matronę
Za zmarłą z bolu.

A tymczasem łotrowski zewłok krewni
Ściągną z haka i ziemi go oddadzą.
Struchlał żołnierz, gdy się o tem upewni,
Z lęku przed władzą.

I ucieka pod grobu sklepy mroczne.
„Katu", rzecze: „nie oddam się za żywa,
„Tu mym mieczem się przebiję i spocznę
„Gdzie ów spoczywa."



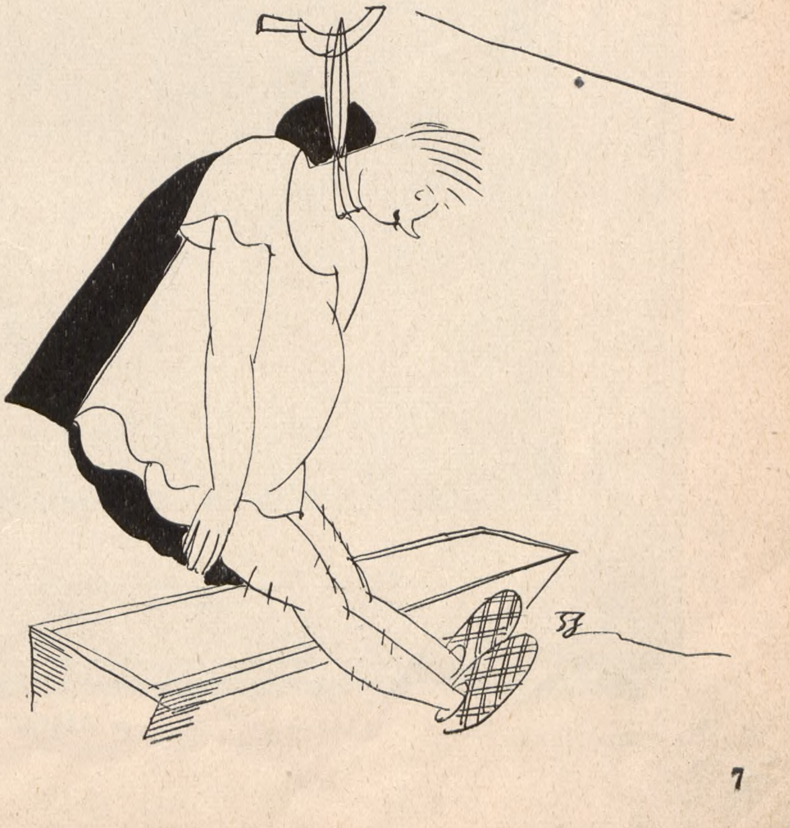
„Co?! drugiego płakać na śmierci noszach?"
Krzyknie dama: „ciebie znów stracić, luby?...
„Wolej, mego tam powiesimy truposza
„Nim dojdą zguby."

Ciemną nocą plan mądry był spełniony, –
Rankiem jakiś gap zaś narobił krzyku,
Zobaczywszy, że mąż zacnej matrony
Dynda na stryku.

Fama aziwu grodem nawskroś przenika,
Lud się zbierał do szubienicznych przyciesi
Cudując, co tak ruszyło nieboszczyka,
Że się obwiesił.

przełożył na wiersz
KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

Ilustrował *T. Gronowski*





p. ADAMOWA HERSE



«LEKARZ MIŁOŚCI»,

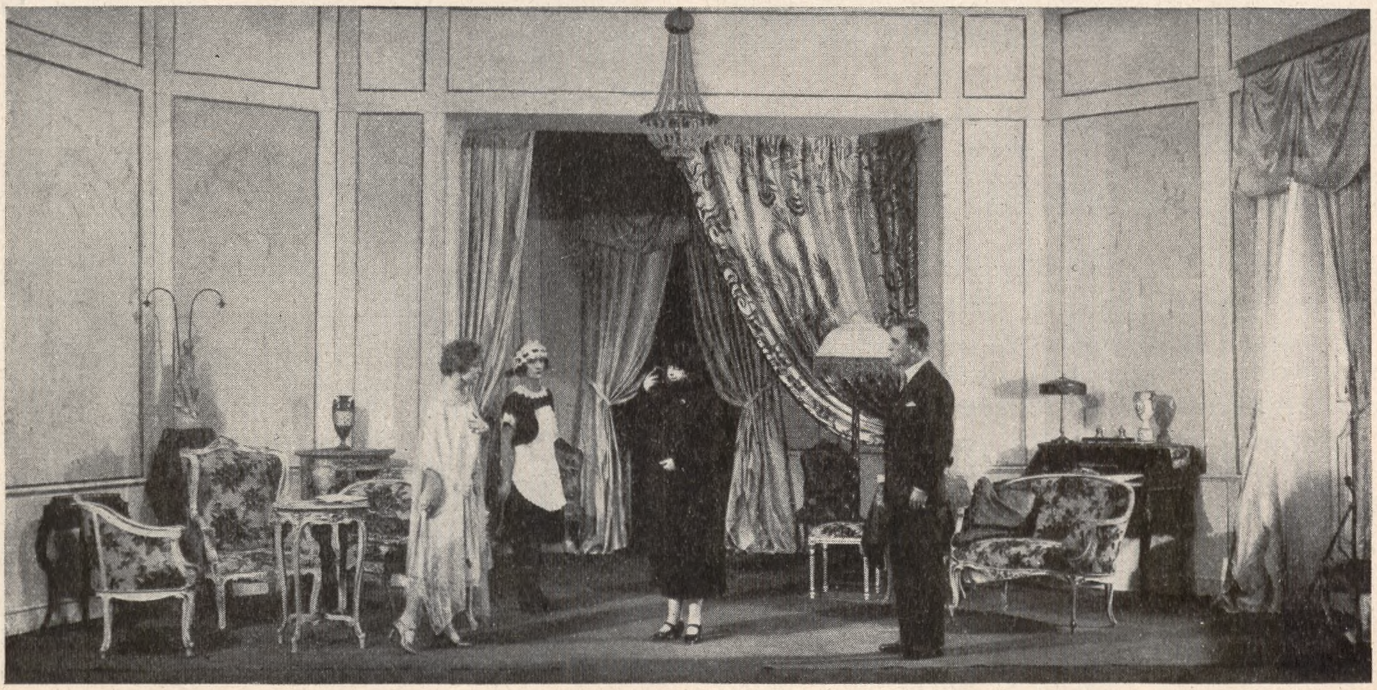
komedja w 3-ch aktach Włodzimierza Perzyńskiego w Teatrze Narodowym. Reżyserował Ludwik Solski.

Nowa komedja Włodzimierza Perzyńskiego odniosła świetny tryumf. Dlaczego? Ponieważ jest napisana z wirtuozowską lekkością, z dowcipem zachwycającym, z uśmiechem, który dobrze znamy z „Lekkomyślnej siostry", z „Dziejów Józefa" i z tylu innych komedji tego subtelnego ironisty.

W roli artystki Mery Słuckiej błyszczy wielki talent p. Mieczysławy Cwiklińskiej, w roli energicznego w sposób megalomański przemysłowca Jabłonowicza budzi huragany śmiechu p. Zelwerowicz. Mistrzostwo tej pary artystów doskonale uwydatniło finezję djalogu Perzyńskiego.

P. Dulębianka, Gromnicka, Solski, Gawlikowski i Łuszczewski, grali bardzo interesująco według rozmaitej skali talentów, jakiemi szczodrobliwy los łaskawie ich obdarzył.





Fot. J. Malarski



MODERNIZACJA SPORTÓW ZIMOWYCH

Obecnie, gdy śniegi olśniewające pokryły Tatry i Podhale, amatorzy sportów zimowych, przeważnie narciarstwa, ciągną i spieszą do Zakopanego, tego polskiego St. Moritz, by tam uprawiać zapamiętale najszczytniejszy ze sportów, mianowicie narciarstwo. Setki adeptów mozoli się nad tą sztuką, mistrzowie zaś zakopiańscy popisują się w 50-metrowych skokach. Musimy tu nadmienić, iż Ski-Ljoring pochodzi z Norwegji i ostatniemi czasy uległ zmianom i udoskonaleniu. W znanych miejscowościach zimowych w Norwegji, Holandji i Szwajcarji wprowadzone zostały motocykle i auta, które zastąpiły zupełnie koni, ciągnących narciarzy, owe motocykle i auta mają specjalną konstrukcję i rozporządzają szybkością 70 kilometrów na godzinę. Motor został również zastosowany do Bobsleigh i saneczek.

Obecnie pewne towarzystwo awiacyjne w Szwajcarji zmobilizowało cały szereg samolotów na usługi turystów i sportowców, przenosząc ich na różne miejscowości.

Ciepło odziani, zaopatrzeni w niezbędne akcesorja, siedząc wygodnie w kabinie samolotu, turyści, po kilkuminutowej nadpowietrznej podróży, zostają przeniesieni na najwyższe szczyty Alp, skąd wygodnie i przyjemnie zjeżdżają na nartach i saneczkach.

Zastosowanie awiatyki do zimowych sportów jest bardzo szczęśliwą inowacją szczególnie dla sportsmenek, które narzekały na mozolne wspinanie się na wysokości. Awiatyka bezsprzecznie otworzy szerokie horyzonty sportowcom, nie będą już potrzebowali zaopatrywać się w ciężkie buty nie trzeba już będzie linki asekuracyjnej od wspinania się na szczyty, ani pomocy przewodnika.

Dzięki modernizacji sportów zimowych staną się one łatwiejsze i dostępniejsze dla szerszych mas.

S. S.



W Alpach



ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

KARNAWAŁ

«...Un Turc, qui avait passé à Paris le temps du Carnaval, racontait au sultan, à son retour à Constantinopole, que les Français devenaient fous en certains jours...»

Starożytni nie znali tego fenomenu. Zaobserwowano go dopiero w średniowieczu. Ale właściwie dokładniejsze studjum przeprowadzono zaledwie przed amsterdamską olimpjadą. Stwierdzono, że choroba ta, zaraźliwa, jak grypa, lotna, jak szkarlatyna, tem się zasadniczo różni od pierwszej i od drugiej, że grasuje wyłącznie wśród dorosłych.

Mężczyźni podlegają jej w znacznie słabszym stopniu, niż kobiety. Podczas, gdy u przeciętnego osobnika płci męskiej daje się zauważyć tylko lekka gorączka, połączona z nieznacznem zaczerwienieniem powiek (w wyjątkowo ciężkich wypadkach z nieprzyjemnym bólem głowy — konstatujemy u kobiet, zarażonych omawianą chorobą, mnogie, nad wyraz powikłane, a zawsze prawie groźne i trudne do wyleczenia objawy, wymagające niezwłocznej pomocy krawieckiej.

Stąd wynika, iż Karnawał, przez niektórych lekkomyślnych mężów lekceważony, spowodować może ciężkie wypadki, kończące się często operacją rozwodową, niezawsze, niestety, skuteczną, w skutkach raczej paljatywną...

* * *

Djagnoza nie przedstawia właściwie większych trudności. Jeżeli, w okolicach Sylwestra, młoda i ładna kobieta nagle zaczyna zdradzać niepokój, ginąc z domu na długie godziny i opowiadając po powrocie o oglądanych modelach sukien i płaszczów; jeżeli, przy rannej kawie (herbacie, czekoladzie) zaczyna zamiast kroniki wypadków, wertować rubrykę ogłoszeń, a zwłaszcza rubrykę, zatytułowaną „ŻYCIE I SALON"; jeżeli, zapytywana przez męża (przyjaciela domu) o stan zdrowia, odpowiada, ni stąd, ni zowąd: „Bombielscy też tam będą", albo: „Wszystkie moje znajome mają już bilety, tylko my nie!"; jeżeli, po powrocie od chorej ciotki, indagowana o jej (ciotki!) sklerozę, cieszy się: „A wiesz? Krynoliny będą znowu modne!" — można twierdzić z absolutną pewnością, że lasecznik karnawałowy wdarł się już do tego kwitnącego niewieściego organizmu. Nie pozostaje wówczas nic innego, jak niezwłoczne zatelefonowanie do M-lle Blanche, czy M-lle Marie — resp., do M-me Kowalskiej, albo M-me Piotrowskiej, i poinformowanie się, czy wspomniane damy byłyby skłonne:

1. Zakredytować ewentualnie jedną toaletę wieczorową z lamy;
2. Zakredytować ewentualnie jedną krynolinę z tiulu, przepasaną szarfą z weluru;
3. Zakredytować ewentualnie jeden drobiażdżek dancingowy, powiedzmy, z krepdeszyny;
4. Zakredytować ewentualnie jedną sortie, bramowaną nurkami?...

Poczem, nie tracąc ani chwili czasu, należy niezwłocznie zatelefonować do najlepszego damskiego szewca z zapytaniem, czyby tenże nie zechciał:

1. Zakredytować jednej pary pantofelków balowych ze strasami;
2. Zakredytować jednej pary sandałów atłasowych „Biedermeyer";
3. Zakredytować jednej pary czółenek fantazyjnych;
4. Zakredytować jednej pary tak sobie?...

Porwawszy nerwowo kapelusz, można następnie uciec z domu żałoby, wpaść do najbliższej cukierni, zamknąć się w kabinie telefonicznej i wyrzucić z siebie jednym tchem:

— — — Allo! Siącpięćsiącześć! — — Fela? — — — Słuchaj, Fela! — — — Żona już mnie zarżnęła! Teraz Ty! Tylko prędko, bo mi przejdzie! — — Co? — — Nie, nie to, co myślisz! —— Przejdzie mi kawalerska fantazja, rozumiesz? — — Mów, co Ci potrzeba, żebyś była ubrana, jak cacko, żebyś wyglądała, jak bóstwo, i żebyś mi nie wygadywała dziur w kamizelce! — — — Tak, słucham! — — — Co? — — Nie, proszę, nie żenuj się, Kochanie! Przecież wiesz, jak Cię bardzo ko — — Co? — — Tak jest, notuję! — — Więc jedna wieczorowa z lamy, krynolina z gazy, albo tiulu, malutka sukienka na dancingi, jakaś sortie, bo nie masz w czem wejść... Tak... Co jeszcze? Aha, pantofelki? — Co? — Naturalnie, że niechcę, żebyś ukazywała się na balach boso! — Allo! — Jedne z lamy, ze strasami, drugie sandałki... Patrzcie państwo! Zupełnie to samo, co Wiga... — Allo! —— Co? —— Że przecież Ciebie więcej ko — No naturalnie, Złotko! — Więc jak? — Aha, torebka. — Ze strasów? —— Dobrze, już zanotowałem! — — Proszę? —— Nie dosłyszałem! — — Jestem słodki? — Dziękuję Ci, Myszko! — Ty też! — Tak, najsłodsza ze wszystkich! — Proszę? — — Owszem, nad życie! — — Pa, Felutek! — Allo? —— Słucham, słucham! ——



P. Karolowa Dewey małżonka doradcy finansowego.



P. Krystynowa hr. Ostrowska.



P. Karolowa Bridge małżonka attaché milit. poselstwa angielskiego.





1 styczeń — 8 luty 1928.



Sześć par pończoch „Lys", ze strzałkami? A który Ty numer nosisz, Kotku? — — — Daruj, zapomniałam... Zdaje się, że Nr. 9? — — — Ach, prawda! To żona nosi Nr. 9! — — —Ty nosisz Nr. 8! — — — Ależ wiem, wiem, że masz mniejsze nóżki! — — — Pa, Felutek! — — — Jestem jeszcze! — — — Słucham Cię, Łobuzie! — — — Nie masz co włożyć na szyję? — — — Hm... — — — A cobyś Ty chciała włożyć na szyję? — — Jakiś drobiazg, byle ładny? — — — Hm... — — — Hm... — — — Dobrze, jutro przejdę się do Wabia-Wabińskiego... Może się znajdzie coś niedrogie— — — Jestem czarujący? Merci, mon amour!— —O, niema za co! — — — Pa, Osiołku! — — — Ty mnie też!



— — — Nie, chciałem powiedzieć: ja Ciebie też!...

* * *

Właściwy kryzys Karnawału przychodzi mniejwięcej między 4—5-tym tygodniem choroby. Kobieta, znajdująca się w takim stanie kulminacji, łapie za gazetę, ledwo oczy otworzy, szuka nerwowo na X-tej kolumnie „Kurjera Warszawskiego" listy pań gospodyń i panów gospodarzy balu „Obręczy" i szuka z niepokojem swojego nazwiska...

— Mmmmm... Bankowscy, Biekrzywscy, Buzdaganowie... Mmmmm... Całusińscy, Cohnowie, Cukrzyccy, Cukierniccy... Mmmm... Drażnicka z córką... Durzyńscy, Dópscy, Dyszkałt-Dyrwańscy... Mmmm... Eutanazyjscy... Mmmm... Fajczyńscy, Fujkalscy, Fudzyjamscy... Mmmm... Kanarowie-de-Canard, Kalibanowie, Kaczorowie, Koziatniccy, Kobiałkowscy, Kokotniccy, Kurozwękowie, Kuhn-Konowie, Kyraly-Eljen... Aż znajduje:

— Lalusińscy... i usypia, jak niemowlę, z ogromnem westchnieniem ulgi.

* * *

Wbrew twierdzeniom niektórych specjalistów, utrzymujących, że Karnawał wpływa doppingująco na erotykę kobiecą, stwierdzić trzeba, iż choroba ta wywiera w pewnych zakresach niewieściego ustroju efekt raczej „komatyczny", usypiając przyrodzoną damom żwawość i wywołując objawy liryczne, czasami zaś nawet — nostalgiczne.

Znane są wypadki, że kobiety mocno zakarnawałowane popadały nagle w tęskną zadumę i zwierzały się komuś z najbliższego otoczenia:

— Ach, nie ma Pan pojęcia, jak się stęskniłam za mojemi dziećmi... Albo, kiedyindziej:

— Czy Pan uwierzy, że od 3-ch tygodni nie widziałam Madzi?

Zdarza się również, że chore, znajdując się na jakimś balu, powiedzmy, 26-tym z rzędu, zaczynały raptem zdradzać ostry niepokój i rozglądać się za swemi własnemi mężami.

— Panie Olku! Nie wie Pan przypadkiem, co porabia w tej chwili Kazik?

Względnie:

— Ach, jakbym chciała teraz usiąść przy Stefanie...

Objawy te, jako wyraźnie niebezpieczne, należy traktować z wyrozumiałą słodyczą, proponując, zależnie od okoliczności, champagne-cobler, albo szklankę kruszonu: w każdym razie, coś chłodzącego... Tonizującego...

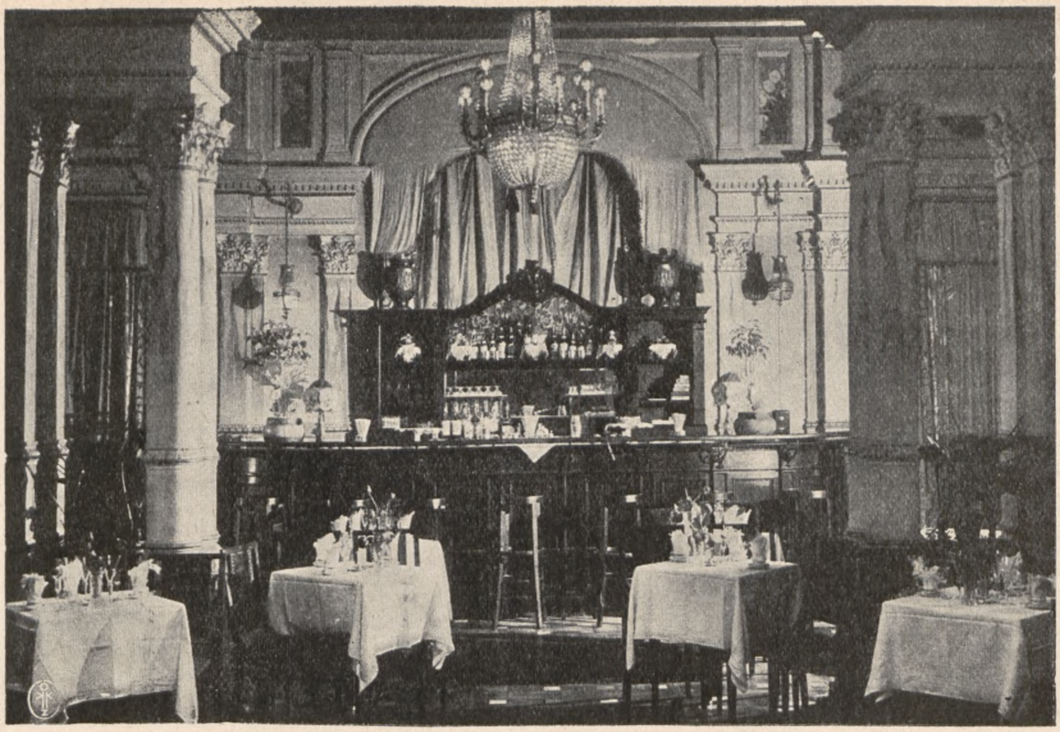
Kobiety, zwycięsko wychodzące z karnawału, zdrowieją równie szybko, jak zachorowały. Cytat, podany w zagłówku niniejszej rozprawy, nie był kompletny... Oto jego zakończenie:

«...que les Français devenaient fous en certains jours, mais qu'un peu de cendre, qu'on leur appliquait sur le front, les faisait rentrer dans leur bon sens!»



Żony są słodkie... zwłaszcza wtedy, gdy proszą męża o pieniądze na nową suknię balową.

„OAZA"



Bar amerykański w sali dancingowej

Wykwintna Warszawa lubi zapełniać ten lokal restauracyjny, położony w bliskiem sąsiedztwie największych naszych teatrów.

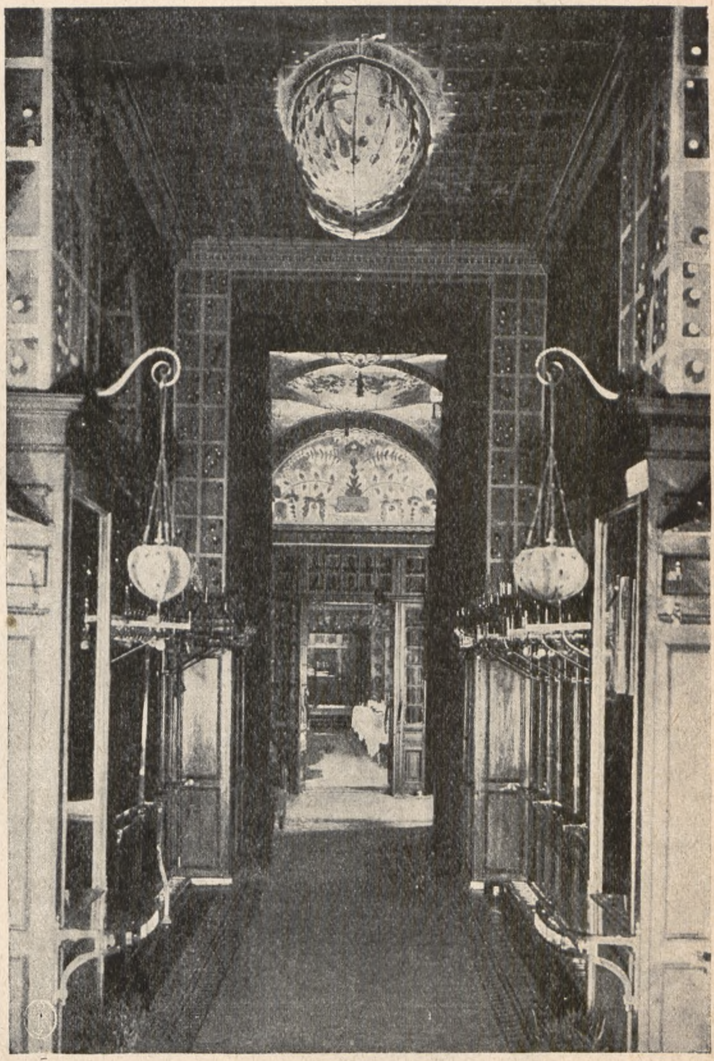
Apartament «Oazy» należy nietylko do najoryginalniejszych apartamentów publicznych naszej stolicy, lecz również i do apartamentów prawdziwie artystycznych. Nic dziwnego. Jego wnętrzem zajął się tak znakomity artysta, jak p. profesora Wincenty Drabik, którego przedziwne dekoracje tylokrotnie były oklaskiwane w naszych wielkich teatrach.

Świetna kuchnia, zapasy win, doskonała orkiestra i prawdziwie uprzejma usługa, ten najbardziej pociągający wdzięk zachodnio-europejskiej restauracji, wszystko to razem sprawia, że «Oazę» odwiedzają panie i panowie, należący do najlepszego towarzystwa, i że cudzoziemcy czują się tutaj wybornie.

Dwa dancingi są również nielada wabikiem. Co miesiąc zmienia się program atrakcji artystycznych, który wypełniają artyści najpierwszych scen i dancingów zagranicznych, jak: Palace, Moulin-Rouge, Tabarin, etc. Reasumując powyższe z przyjemnością skonstatujemy, że restauracja Dancing Oaza dorówna pod każdym względem najelegantszym tego rodzaju zakładom zagranicznym.



Sala dancingowa



Wejście

LEOPOLD STAFF

PIOSNKA

Ot, taka sobie piosenka
O łzach i bólu,
Którą mi śpiewa ma męka
W jesiennem polu:

O wietrze, wietrze skrzydlaty,
Powiedz mi, powiedz,
Wszak kroczył tędy przed laty
Młody wędrowiec.

Żadna nie dała mu troska
Pić jadu trutek,
Wiedział, co radość jest boska,
Nie znał, co smutek.

Pieśń z serca nucił wesołą,
Choć nikt nie słucha
I wzwyż wznosiła mu czoło
Błoga otucha.



Leopold Staff
tegoroczny laureat
Państwowej Nagrody Literackiej

W pląs go wprawiała taneczny
Stopa radosna,
Bo świat był wkoło słoneczny
I złota wiosna.

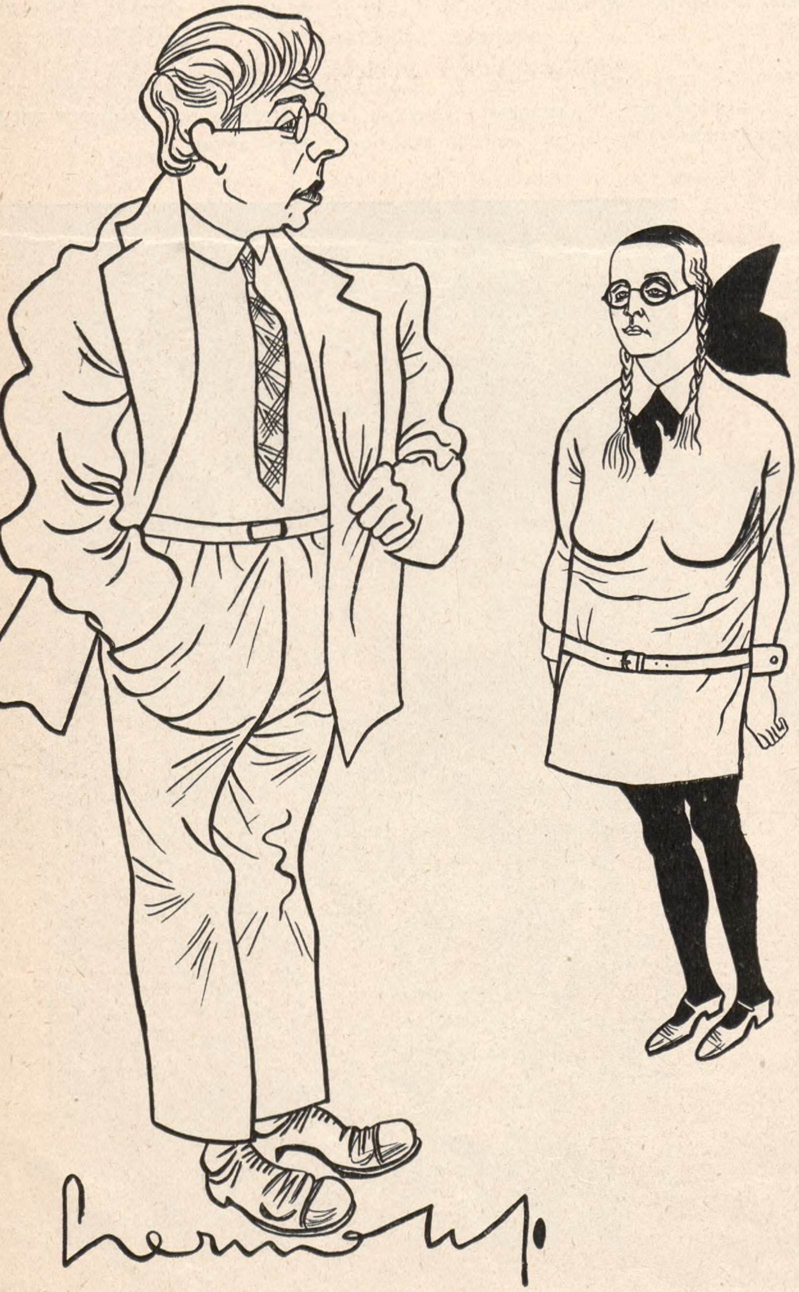
Tęsknota wiodła go słodka
Wielkiej miłości,
Która po drodze go spotka
I wezwie w gości.

W oczach mu świecił żar wiary,
Co bije z łona,
Że los chwyciwszy za bary,
W walce pokona.

Nadzieja kwitła mu kwiatem,
Co życie zdobi,
Że w lot owładnie tym światem
I w cud przerobi.

Śnił, że zło złamie i zetrze
Niedolę całą...
Jesienny, pełny łkań wietrze,
Co się z nim stało?

Wierzyć nie mogę, manowcem
Krocząc i pyłem,
Że tym szczęśliwym wędrowcem
Sam niegdyś byłem.



«SZKOŁA WDZIĘKU»

komedja w 3-ch aktach w teatrze Letnim.
Reżyserował dyr. Emil Chaberski.

Teatr Letni, większą część swego repertuaru poświęcający zazwyczaj komedji amerykańskiej, wystawił tym razem amerykańską farsę. Interesujący pomysł, gruba, bezpretensjonalna robota, wreszcie bardzo wiele naiwności — oto składniki zasadnicze «Szkoły wdzięku».

Najwyższa klasa pensji, oddana pod zarząd paczki urwipołciów, nastręczyłaby autorowi francuskiemu nieograniczone pole do popisu w postaci rozmaitych sytuacji farsowych. W «Szkole wdzięku» młodzież nie wychodzi poza granice poprawnego flirtu, rzecz kończy się matrymonjalnie.

Nie zrażając się naiwnością sztuki dyr. Chaberski dał jej bardzo szybkie tempo i osiągnął rezultat ten, że część wad sztuki można uważać za jej zalety.

Wśród wykonawców najlepsza bezsprzecznie p. Gorczyńska, która rolę pensjonarki odegrała z prawdziwie dziewczęcym wdziękiem i temperamentem. Swietny był jak zwykle p. Kurnakowicz. Kapitalną sylwetkę nauczycielki dała p. Gellówna. Bardzo poprawnie wykonali swe role p.p. Mielęcka, Grelichowska, Różycki, Hnydziński, Janusz i inni.





«MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ»

tragikomedja kołtuńska w 3-ch aktach Gabrjeli Zapolskiej w teatrze Polskim. Reżyserował Jerzy Leszczyński.

W perspektywie dwudziestolecia, dzielącego nas od premjery znakomitej komedji Gabrjeli Zapolskiej «Moralność Pani Dulskiej» nabrała już pewnych cech nieśmiertelności. Pojęcie «Dulszczyzny» mimo pewnej przemiany kształtów i powierzchownego wygładzenia nie odumarło. Przeciwnie kołtuństwo mieszczańskie kwitnie i zabija dokoła siebie wszystko, co się mu sprzeciwia. Pod tym kątem widzenia wznowienie «Moralności Pani Dulskiej» przez Teatr Polski uważać należy za posunięcie bardzo trafne.

Reżyserja i wykonanie sztuki wyborne. P. Słubicka rolę pani Dulskiej wycieniowała w najdrobniejszych szczegółach. P. Leszczyński jako Zbyszko, oczywiście, świetny. Nigdy nie bywa inny. Pani Pancewiczowa dała dorodną dziewuchę wiejską, którą moralność pani Dulskiej srodze krzywdzi, a pp. Malicka i Romanówna inkarnowały dwa podlotki wiejskie z wdziękiem istotnej młodości.

WSZECHŚWIATOWEJ SŁAWY
MASZYNY DO PISANIA
„MAŁY REMINGTON"
ŁADNA
LEKKA
TRWAŁA
O 42-ch KLAWISZACH
NIEZBĘDNA DLA KAŻDEGO
W DOMU, W BIURZE I W PODRÓŻY
Tow. BLOCK-BRUN Sp. Akc.
WARSZAWA, HOTEL BRISTOL
ODDZIAŁY:
KATOWICE, KRAKÓW, LWÓW,
ŁÓDŹ, POZNAŃ, WILNO, GDAŃSK





Voilà la marque à la mode!

Halama



PERSKIE OKO
REWJA KARNAWAŁOWA „CONFETTI"

Dużo u nas było prób dorównania, jako ideałom, wielkim rewjom zagranicznym. Ze wszystkich tych wysiłków dotychczasowych, obecna rewja w „Perskiem Oku", zdaje się być temu ideałowi najbliższą.

Rewja „Confetti" jest barwna, wesoła i roztańczona, jak karnawał, którego liczne scenki nam przedstawia. Trudno wyróżnić numery dobre, gdyż, szczerze mówiąc, niema złych (świadczyły o tem najlepiej huczne oklaski i wesoły nastrój, jakie przez cały czas trwania spektaklu, panowały na sali) wymienić wszystkie jest dla braku miejsca niemożliwe ograniczymy się przeto do wymienienia kilku, a więc: „Niech pan nie buja", świetnie wykonany przez p.p. Bodo, Rolanda i Olszę. Ci „trzej blagierzy" tak doskonale blagują, że numer ten wysunął się bodaj na czoło programu. Olsza zawsze dobry w rolach charakterystycznych, dał tym razem wręcz świetną sylwetkę anglika „szalejącego" podczas karnawału w Londynie. W numerze tym wyrazy uznania należą się równie dobrej p. Nowickiej. Dalej p. Walter kapitalny, „Pitraszkiewicz z Zegrza" poszukujący swego „redutowego ideału" za kulisami teatru, i p. Bukojemska w doskonałych piosenkach karnawałowych, i p. Kościeszanka, i „dziecinna" p. Karlińska, i p. Herten w przepięknych strojach i wszyscy inni. „Gibkie" Halamki — te tyle już nasłuchały się komplementów, że wystarczy napisać, że były... jak Halamy, (dobry towar sam...). Dyrekcja muzyczna p. Górzyńskiego bez zarzutu.

Piękna muzyka, dobre skecze, ładny taniec i efektowne dekoracje, oto czynniki, które składają się na całość niepospolicie dobrej rewji „Confetti", będącej chlubnym świadectwem dla kier. art. p. Andrzeja Własta, który rewję tę tak dobrze zorganizował i ładnie wystawił.



p. Karlińska p. Bodo p. Kościeszanka





Paryska gwiazda, Josephina Baker, dała nam możność podziwiania w filmie p. t. «Czarna Venus» swą niezwykłą urodę i swój żywiołowy temperament taneczny.

Warszawska firma «FUCHS» dała Józefinie Baker możność przekonania się, że sława doskonałych warszawskich czekoladek jest całkowicie usprawiedliwiona.



Scena z filmu „Czarna Venus" przedstawia J. Baker w chwili, kiedy rozdaje dzieciom czekoladki „Fuchsa"

Niema nic zdrowszego dla dzieci, jak zabawa na świeżem powietrzu, nawet podczas mrozu!

Należy tylko dbać o to, by skóra dziecka została należycie zabezpieczona przed wpływem wilgoci i mrozu.

Elida Coldcream chroni nawet najdelikatniejszą cerę przed bo=lesnem spierzchnięciem. Przy jego użyciu skóra staje się delikatna, a jednak niewrażliwa na wilgoć i mróz.



ELIDA
COLDCREAM



KARNAWAŁ

QUI PRO QUO

Rewja „Typki z Qui pro Quo"



P. Mira Zimińska, po dłuższym pobycie zagranicą, powruciła do Warszawy i z wielkim powodzeniem występuje w Qui pro Quo

Uzupełniamy przez p. Mirę Zimińską, zespół Qui pro Quo, zebrał się w komplecie, to też „Typki z Qui pro Quo" są bez „braków" i bez zarzutów. Doskonały ten program cechuje przedewszystkiem szczery humor, na który Qui pro Quo zdaje się mieć monopol. Cała fontanna pierwszorzędnych dowcipów, kilka dobrych, pełnych humoru skeczów no i zawsze prima Ordonka w nowych prześlicznych piosenkach — oto lekki szkic programu, na którym publiczność bawi się doskonale. Z poszczególnych numerów wymienić trzeba „Wspólnicy" (Lawiński — Krukowski) Kabaret polityczny — pierwszorzędny numer, na który zdobyć się mogło tylko Qui pro Quo, pozatem Krukowski w nowej piosence — szlagierze (Hemar jest niewyczerpany), dalej Zimińska której groteskowy humor zyskuje huczne oklaski... i tak należałoby długo jeszcze pisać. Musimy się streścić: doskonały, zgrany zespół, pierwszorzędne walory literackie i mistrzowska conferencierka Jarossy'ego, oto sekret wielkiego powodzenia rewji „Typki z Qui pro Quo".

POLSKIE TOWARZYSTWO RADJOTECHNICZNE

S. PTR A.

WARSZAWA — MOKOTÓW, NARBUTTA 29. TEL. 182-16 i 38-59.

WŁASNEJ PRODUKCJI

APARATY ODBIORCZE

LAMPY KATODOWE

SPRZĘT RADJOFONICZNY

SKLEP DETALICZNY: Hotel Europejski. Tel. 38-86.




OD LAT
50
CAŁY
HIGH LIFE
POLSKI
UBIERA SIĘ
w FIRMIE
WŁADYSŁAW ULENIECKI.
WARSZAWA BIELAŃSKA 6
T. GRONOWSKI

«GIEŁDA MIŁOŚCI»

Dziwna jest ta powojenna generacja, dla której nie istnieją już żadne ideały. Obecna młodzież wyzbyta wszelkiej romantyczności i subtelności duchowej, dąży śmiało ku jednemu celowi: użycia i zdobycia za wszelką cenę pieniędzy, które jak czarodziejski Sezam otwierają im wrota do rozkoszy, użycia, dominującego stanowiska, oraz różnych zakazanych i mniej lub więcej erotycznych wzruszeń. Wśród całego tłumu newropatów znajdują się jednak wyjątki, w których obecne życie nie zabiło doszczętnie wszelkich pierwiastków szlachetniejszych, a dążeniu ku odrodzeniu moralnemu stają na przeszkodzie tylko różne konjuktury życiowe.



Vera Salvotti

Taką też powojenną trójkę dziewcząt pokazano ostatnio w nowostworzonym filmie wytwórni Saschy w biurze «Petef» — z naszym bohaterem, Igo Symem — p. t. «Giełda miłości» (Pajace życia).

Obraz cały technicznie i reżysersko przeprowadzony pierwszorzędnie, ciągłość akcji i dynamika gry konsekwentna, sceny drastyczne umiejętnie stosowane, zaś gra artystów, szczególniej Forsta, w roli apasza Poldka, znakomita, wycieniowana do najdrobniejszych szczegółów, odcina się wprost od tła, żyje, pulsuje, fascynuje szczerością i naturalnością gry. Aktor ten, mało dotąd znany, ma przed sobą piękną przyszłość, szczególniej w rękach dobrego kierownika.

Nina Vanna—angielka, Vera Salvotti—włoszka, Marlene Dietrich — austrjaczka i Igo Sym — polak — oto szereg artystów międzynarodowych, których zgromadziła «Sascha film», nie szczędząc kosztów i trudów tam, gdzie chodzi o stworzenie artystycznej całości, potwierdzając tem samem, że uznanie, jakiem się cieszy na rynku wszechświatowym, nie jest niezasłużone.



PRACOWNIA
UBIORÓW
MĘSKICH
A. Boguckiego
(b. długoletniego krojczego firmy P. Borkowski)
WARSZAWA
Wspólna 34 m. 9, telefon 314-34
Poleca się Sz. klijenteli.





WELL

KRYNOLINA REDIVIVA

Pierwszą kobietą, która włożyła krynolinę, pod tą nazwą, była cesarzowa Eugenja, słynnie piękna małżonka cesarza Napoleona III. Kreowano ją specjalnie jako strój ukrywający czasową deformację kibici, gdyż Jej Cesarska Mość spodziewała się właśnie potomka. Wtedy po raz pierwszy padło słowo «krynolina», bowiem istota jej — szeroka suknia w kształcie dzwonu, datuje z czasów o wiele dawniejszych. Znacznie wcześniej i z tych samych co cesarzowa Eugenja powodów, nosiła ją wszechmocna faworyta Króla Słońca, pani de Montespau. Tylko że wtedy to się nazywało: une robe ronde, (okrągła suknia). Stąd w Polsce jeszcze w 19-ym wieku, stalowe obręcze i sprężyny podtrzymujące krynolinę i późniejszą «turniurę», nazywano robronami. Renesans, tak hołdujący pogańskiemu pięknu ciała, przekazuje nam jednak na portretach Tycyana, dogaressy w sztywnych, brokatowych robronach. Zdaje się, że znowu chodziło o te zmiany figury; ludzie renesansu byli niezwykle płodni. A że każda moda, lansowana zapewne przez jakąś damę znakomitą i wytworną, jak np. księżna Izabella Mantuańska, musiała natychmiast spotkać się z bezmyślnem naśladownictwem, dowodzą nam ośmio i dziewięcioletnie infanty Pelasques'a, bardzo zażenowane w swych długich i obszernych robronach, robionych ze sztywnych jak blacha złotogłowi. Biedne dzieci z pewnością nie miały tych powodów do ukrywania swych kształtów; co ich mamusie.

Nadzwyczajne rozpowszechnienie krynoliny w tym karnawale, jest niewytłomaczalnym kaprysem. Pani Mody. Co może chcieć ukrywać współczesna elegantka? Podobno we Francji dzieci mają być modne, ale jest to chyba jedyna moda do której modna pani niechętnie się stosuje, przynajmniej u nas. Krynolina jest strojem wymagającym dużo miejsca — żyjemy w epoce tłoku i ścisku, który na najwspanialszych balach niewiele się różni od tłoku i ścisku w tramwaju. W robronach tańczono puwarę, w krynolinie — wirowego walca. Współczesna pani usiłuje w krynolinie tańczyć black-bottom, co wypada fatalnie. Krynolina jest strojem, który obowiązuje, wymaga dystynkcji, spokojnego, wytwornego giestu, tak zwanej «stylowej powierzchowności». Współczesna pani ma wiele zalet: jest dzielna, energiczna, obrotna, ale właśnie dlatego że musiała zakasać rękawy i rzucić się w wir walki o byt zatraciła w tej walce dawną dystynkcję i wytworność: c'est la vie! Obserwowałam na jednym z bali damę we wspaniałej, złotej krynolinie. Była to zapewne niewiasta oszczędna i praktyczna, siadając, przy pomocy tancerza, zarzucała krynolinę na poręcz fotela. Było to postępowanie wielce przewidujące — złota lama łatwo się gniecie, a jest trudna do odprasowania. Ale ten ruch zarzucania sukni na poręcz i ta odwrotna strona medalu, ujawniająca wszystkie tajniki rusztowania krynoliny!!... Nie, stanowczo ta przewidująca osoba nie była w zgodzie ze stylem stroju, który nieopatrznie przywdziała.

Z tem wszystkiem krynoliny są modniejsze niż kiedykolwiek, widzi się ich więcej niż kiedykolwiek i piękniejszych niż kiedykolwiek. A że są często źle noszone — trudno, taki już los większości modnych, pięknych i kosztownych kreacji.

Redakcja: WACŁAW GRUBIŃSKI, IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Wydawca: «BEKA» Sp. z o. o.
Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61
Redakcja i Administracja: Czackiego 8, tel. 307-23. Konto P. K. O. 16190.
Z kierownikiem wydawnictwa porozumieć się można codziennie w godz. 3—4 popoł. Telefon 407-12.
Prenumerata wraz z przesyłką: kwartalnie zł. 9, półrocznie zł. 18, rocznie zł. 35.
Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 800; 1/2 strony zł. 450; 1/4 strony zł. 250. Ogłoszenia wielobarwne o 50% drożej.

Z B L I Z A S I Ę W I O S N A!

KAŻDY OGLĄDA SIĘ ZA MARKĄ SAMOCHODU. WYBÓR JEST TRUDNY, GDYŻ SĄDZĄC Z REKLAM WSZYSTKIE MARKI SĄ DOBRE.

PRZY WYBORZE MASZYNY RADZIMY OPIERAĆ SIĘ TYLKO NA SOLIDNOŚCI

SAMEJ MARKI i JEJ PRZEDSTAWICIELA.

W TYM TYLKO WYPADKU BOWIEM MOŻECIE MIEĆ GWARANCJĘ NALEŻYTEJ OBSŁUGI, ZAOPATRZENIA W CZĘŚCI ZAMIENNE i DŁUGOWIECZNOŚCI SAMEJ MASZYNY.

JEŚLI WEŹMIECIE TE WSZYSTKIE WZGLĘDY POD UWAGĘ — TO WYBÓR PADNIE

NIEWĄTPLIWIE NA SAMOCHÓD

„H O T C H K I S S"

ZNANY ZE SWEJ DOBROCI i TRWAŁOŚCI.

PROSPEKTY i OFERTY ZAWIERAJĄCE SZCZEGÓŁOWE DANE — WYSYŁA SIĘ NA ŻĄDANIE.

HOTCHKISS



JENERALNI PRZEDSTAWICIELE NA RZECZPOSPOLITĄ POLSKĄ

SP. AKC. HANDLOWO-ROLNICZA

„K O O P R O L N A"

WARSZAWA, KOPERNIKA 30

O D D Z I A Ł Y:

POZNAŃ,
AL. MARCINKOWSKIEGO 3 b.

KATOWICE,
UL. MICKIEWICZA 10.



KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.

Teatr i Życie Wytworne.

CZASOPISMO ILUSTROWANE

COURT J. BRAUN

RAMPER, CZŁOWIEK-ZWIERZĘ

Ramper stoi wśród lodowców.

Ramper — żywa, owłosiona masa. Włosy na rękach. Włosy na nogach. Włosy na całem ciele. Głowa porośnięta gęstą, sztywną szerścią. Czy jego twarz przypominała dawne czasy jego człowieczeństwa?...

Noc roztoczyła nad nim swe czarne, aksamitne skrzydła. I tak od trzech tygodni, czy miesięcy... A może od trzech lat... Ramper liczyć już nie umie, zresztą pocóż obliczać? To takie niemądre...

Wystarczy, że Ramper był niegdyś człowiekiem. Inżynierem; jednym z członków wyprawy do północnego bieguna...

Czy pamiętasz sensacyjne depesze zamieszczane we wszystkich niemal pismach?

Ramper wyrusza do bieguna!

Adieu, Ramper!

Warczenie motoru... a potem, gdzie okiem sięgnąć... lód...

Ach, ten przeklęty motor!... coś pękło... i trzeba było lądować...

Żółta, pomarszczona twarz Ipling'a zwraca się ku Ramper'owi. Są już na dole. Propeler zarył się z przeraźliwym zgrzytem w grubą powłokę lodową.

I... tak minęło, zdaje się, lat kilka — — —

Ipling, stary, dzielny towarzyszu, strasznie cierpiałeś... cierpiałeś trzy długie lata tu wśród zimnych obojętnych szczytów lodowych... A życie wlokło się... krok za krokiem miarowo...

Ipling, poczciwcze niezapomniany, znalazłeś szczątki jakiejś amerykańskiej ekspedycji... nawpół rozbity dwupłatowiec, a w nim niewyczerpany zapas konserw i sucharów... na pięćdziesiąt lat nam chyba wystarczyć powinno...

Pamiętasz, stary?... Siedziało się tam i czekało — czekało... że przecież musi ktoś przybyć wreszcie stamtąd... ze świata, z kim i my wrócić będziemy mogli...

Ale nikt nie przybył.

Snać wszyscy o nas zapomnieli!

I uprzykrzyło się wreszcie oczekiwanie... Siedziało się, jadło... i spało... A po sześciu miesiącach nastała noc... skuliliśmy się, słuchając wycia białych niedźwiedzi... skuliliśmy się, Ipling, i usnęli...

— Czy śpisz, stary?

O tak, ty śpisz oddawna, przyjacielu!

Trzy lata wytrzymałeś... To zupełnie dość, aby oszaleć, Ipling! Szkorbut. Twarz twoja stawała się coraz bardziej chuda i pożółkła. Nic nie mówiłeś. Siedziałeś bez ruchu i milczałeś. Jakiś gad żarł cię wewnątrz powoli. Gdyś porwał za rewolwer, dusza twoja już dawno martwa była...

Ipling!

„Przebacz, Ramper", rzekłeś wówczas; „podłością jest zostawiać cię tu samego, — ale ty żyć powinieneś... ja dłużej nie mogę..."

Żegnaj mi, stary!

Ramper żyje.

Ramper siedzi na lodzie i topi zęby we własnych pięściach. Budzi się nagle z odrętwienia... to smak gorącej, lepkiej krwi... Straszne!... I znowu zasnuła wszystko wokół szara, nieprzebyta mgła. Zapadła noc.

Wyją białe niedźwiedzie.

...uiuiui... dziwny głos powtarzany echem... język sam się jakoś układa... Ramper naśladuje to straszne wycie... śpij, Ramper, śpij... Pan czuwa nad... tam, tam daleko... gdzieś wre życie wielkiego świata... Pan czuwa... A tutaj ciemna noc, Ramper, — noc ciemna...

* * *

Potężny statek poławiaczy wielorybów, „Polar Star", utknął wśród lodowców. Załoga składa się z tuzina ludzi. Czekają wiosny.

Gdy pierwszy promień słońca spłynął z nieba, lód zaczyna trzeszczeć przeraźliwie...

Wszystko roztaje niedługo.

I do domu się powróci rychło.

Załoga „Polar Star" miała dziwną przygodę. Pojmano jakieś nieznane zwierzę. Zwierzę, jakiego nikt nie widział dotychczas. Trzej ludzie namęczyli się strasznie zanim się poddał ten okaz oryginalny.

Ustawiono na pokładzie dużą klatkę i uwięziono w niej dziwnego jeńca.

Zupełnie nieznane zwierzę.

Chwilami patrzy rozumnie, jak człowiek... siedzi skulone, bez ruchu... I tylko czasem podczas cichych, ciemnych nocy podnosi wgórę łeb i przeraźliwie wyje... jakieś wycie niesamowite... uiuiui... zgłodniałe, podbiegunowe niedźwiedzie wyją tak hen, gdzieś daleko w lodowcach...

Załoga „Polar Star" nie wie sama co począć z niezwykłem zwierzęciem. A może sprzedać je któremuś z zoologicznych ogrodów?...

Potężny statek „Polar Star" płynie w kierunku południowym...

* * *

Płyną w złocistym blasku słońca.

Świat otwiera im swe podwoje... Port już majaczy w oddali... Okręty. Wrzawa. Domy. Dziewczęta.

Świat uśmiecha się kusząco tysiącem cudnych obietnic. Celem podróży jest „Zielona Przystań".

Nie znacie „Zielonej Przystani", prawda?

Monety brzęczą w kieszeni... ile kosztuje świat? —

Pójdź tu, piękne dziecię, bądź miłą i dobrą dla swego marynarza, który przywiózł ci w upominku parę eskimoskich pantofelków, a to jest przecież talizman!... Co, nie podobają ci się? Biegasz boso? I wolisz złotą, błyszczącą monetę?

A może befsztyk z kuflem porteru byłby czemś realniejszem? Doskonale, maleńka, — trzy befsztyki, kelner, dla panienki i trzy razy porter ze śliwowicą! Ale drżysz wszakże z zimna, moje dziecko! Wiem, nie zważasz na to! Masz oto befsztyki!... A ze zwierzęciem... o którem ci mówiłem... może zrobimy dobry interes!... Sami nie wiemy czy to orangutang, czy też niedźwiedź podbiegunowy... Szalenie niebezpieczne zwierzę! Zupełnie wygłodniałe! — A przytem ma takie zabawne oczy... Co takiego?... Ach, zdrowie twoje, dziecino! Może jeszcze śliwowicy?...

Jakiś pan tam siedzi! Spójrz, jaki zabawny pan!

Jak się pan nazywa, drogi panie? Chocolat jest pańskie nazwisko? — Ładne, bardzo ładne; a to dziewczę u pańskiego boku? — Właściwie nie powinno nas to obchodzić, ale pragnęlibyśmy znać jej imię! Zizi, tak, tak, piękne imię Zizi, — pańska siostra, panie Chocolat? Tak, pojmuję... ma pan tresowaną małpę, all right, śliczna rzecz, tresowana małpa... co takiego?... zdechła?... Mój Boże, jakże szkoda takiej małpy, panie Chocolat!

Nasze zwierzę pragnie pan zobaczyć, panie Chocolat? — — — kupić? — — — ...ach, jeżeli się panu spodoba... jeżeli pan sądzi, że da się wytresować... gdzież pan pracuje? w budzie cyrkowej? — St. Pauli? Rozumiem — — tak, tak... a więc to dziecię nazywa się Zizi, piękne imię, Zizi, — — — a czy Zizi jest do sprzedania — — — pardon, proszę mi wybaczyć, to porter ze śliwowicą, zagalopowałem się, chciałem powiedzieć... tak, nasze zwierzę możemy sprzedać, — pytam tylko ile dałby pan za nie, panie, panie Chocolat! Pójdź pan ze mną, — będzie pan mógł obejrzeć to bydlę, panie Chocolat — — mam zaszczyt, panno Zizi, — — piękne imię, Zizi — — — a dzieci też możemy zabrać ze sobą, nieprawdaż? Chodźcie... chodźcie wszyscy... ten pan tam z tą blondyneczką chcą obejrzeć i kupić nasze zwierzę...

— — — — — — — — — — — —

Pan Chocolat pozwala sobie przedstawić:

„Teddy, człowiek-zwierzę!"

Wejdźcie, moi państwo! Coś takiego widzi się raz tylko! Zwierzę północy pojmano i cały świat głowy sobie łamie... tak widok niesamowicie ciekawy. To nie blaga, nie iluzja, moje piękne panie i wytworni panowie, prawdziwa, najprawdziwsza rzeczywistość! Ujrzycie zresztą sami!

— — — — — — — — — — — —

To właśnie był Ramper.

Ramper, niegdyś człowiek, śmiały podróżnik, stał się zwykłym okazem białego niedźwiedzia... piękną czerwoną wstążkę zawiązano mu u szyi... uiuiui... czy słyszycie ryk prazwierza, moi państwo?

Pan Chocolat stoi przed budą, jako wywoływacz wielkiego sensacyjnego spektaklu.

Jasnowłosa, słodka panna Zizi jest z nim w garderobie. Tu leży na łańcuchu Ramper, głupie, dzikie zwierzę o zgłodniałych oczach i bezmyślnych ruchach... a czasem śni Ramper, śni o białym lodzie i płonących gwiazdach w samotności...

Dzwoni coś — tik-tak — elektryczny fortepian... i złotowłosa panna Zizi, głaszcze kudłaty łeb Ramper'a... jej tylko wolno go dotykać... i wolno, majestatycznie kroczy za nią na małą scenkę, przed którą siedzą ludzie o brudnych, wykrzywionych twarzach...

En avant, Ramper!

Wre w tobie krew żądna przygód!

Ramper wypręża się i kudłatemi ramionami opasuje gruby żelazny filar... W najbliższych rzędach poruszenie... A może Ramper przełamie żelazną sztabę... i zwycięskim krokiem powrócić zechce na łono człowieczeństwa...

Zbyteczny lęk!

Ramper nie łamie żelaznych sztab. Złotowłosa, słodka panna Zizi, stojąca tuż obok potwora, igra z nim, a on... uiuiui... pochyla się ku niej... uiuiui... i pozwala głaskać swój kudłaty łeb...

Ramper słabnie. Krew wrząca stygnie powoli. Ramper tuli się w kąt odległy. Ramper, zwierzę dzikie, lęka się ciekawych twarzy tam na dole, które patrzą weń z niesamowitą rozkoszą. Ramper czuje się biednym i nagim zupełnie w obecności tylu obcych rozciekawionych ludzi...

Nikt przecież nie lęka się Ramper'a.

On, takie biedne, bezbronne zwierzę.

A gdy przedstawienie się już skończyło, Ramper znowu leży na łańcuchu w garderobie panny Zizi, leży w kącie i patrzy poprzez gęste kudły na białe, słodkie czoło tam, przy gotowalni — i chwilami dreszcz jakiś przebiega dzikie serce Ramper'a, a oczy jego stają się bardziej zgłodniałe... i zęby lśnią w blasku oświetlonej garderoby...

Niebezpieczeństwo, panno Zizi!

W kącie snuje się coś... coś, co stać się może pewnej nocy naturalną katastrofą...

Nie, panna Zizi się nie lęka. Gdy owłosione ramiona są już poza nią, uśmiecha się tylko do rozentuzjazmowanej publiczności... wśród rozstrzępionych kudłów niknie pożądliwe spojrzenie Ramper'a... maleńka rączka Zizi głaszcze kudłaty łeb... „Dobrej nocy, Teddy!"... Światło przygasa...

Panna Zizi zamyka drzwi garderoby.

— — — — — — — — — — — —

Chocolat siaduje często wieczorami w ulubionej swej knajpie.

Wówczas dla panny Zizi nastaje raj na ziemi, o którym nikt nie powinien wiedzieć.

Panna Zizi spotyka się ze swoim Fredy na wielkim widowiskowym placu... Kontrolerem przy karuzeli jest Fredy... I siedzą za szarą płócienną ścianą... w gondoli z gipsu i złota, wysłanej purpurowym aksamitem... Na kadłubie gondoli widnieje napis: „Benares, Indje"... Podobno pięknie tam bywa w nocy...

W złocistej gondoli wieczerzała złotowłosa Zizi ze swym Fredy przy wątłym płomyku dwóch woskowych świeczek... Są teraz w Indjach, na księżycu... w raju... wszędzie, gdzie jest pięknie — oni się zjawiają... i wszędzie, gdzie oni są — jest naprawdę pięknie...

Pan Chocolat, brat złotowłosej Zizi, nic przecież nie wie o tem wszystkiem! Nie wie nawet o wyśnionym pałacu na złotej gondoli z wielkim napisem: „Benares, Indje".

Może tylko stróż nocny, obchodzący plac widowiskowy kilkakrotnie, słyszał cichutkie szepty i przytłumiony odgłos gorących pocałunków... a gdy szedł dalej, ujrzał przez okno cyrkowej budy wysoką postać, przechadzającą się po garderobie panny Zizi... a potem tęskne, zawodzące wycie... uiuiui z drugiego końca placu, gdzie znajdowała się menażerja, niby echo posłuszne, podbiegunowy biały niedźwiedź odpowiadał przeciągle... uiuiui!...

— — — — — — — — — — — —

Zmiana w życiu przeznaczona snać była Ramper'owi.

Zjawili się dnia pewnego jacyś panowie, którzy wszczęli z panem Chocolat'em ożywioną rozmowę. Bardzo wytworni panowie (złote okulary, Hotchkiss 90 HP., szofer w błękitnej liberji z białem szamerowaniem).

„Widzi pan, Mr. Chocolat, pragniemy tę sprawę załatwić zwięźle. Pokazujecie w cyrku człowieka. Jestem

profesorem Barbazin. Gdybym się zwrócił do policji, natychmiast odebranoby panu tego Teddy... proszę się nie lękać, panie Chocolat, jestem lekarzem, a nie detektywem. Pragnę tego człowieka zabrać do swego sanatorjum. Jestem jedynym na świecie, który mógłby go uratować. Pragnę wiedzieć, kim on jest właściwie. Kim był, zanim doszedł do tego okropnego stanu zdziczenia. Pańskie wymagania, panie Chocolat? Gotów jestem zapłacić odszkodowanie..."

Chocolat szukał odpowiedzi. Imponująca jego potęga na placu widowiskowym stopniała nagle, jak masło wystawione na żar słoneczny. Chocolat nigdy jeszcze dotychczas nie miał do czynienia z tak wytwornymi ludźmi... Szukał w myśli cyfry dostatecznej... Pan nazwiskiem Barbazin podsunął mu wypisany czek: „Mam nadzieję, że wystarczy to panu, panie Chocolat!"

Czy wystarczy?

Chocolat ujrzał cyfrę o pięciu zerach. Wszystko zawirowało mu przed oczami. Pięć zer — to także coś, nie takim panom wystarczyłoby, jak pan Chocolat... Niejedno gotów był sprzedać za tak pokaźną sumę, a cóż dopiero Ramper'a, człowieka-zwierzę...

— — — — — — — — — — —

Trzej mężczyźni wtargnęli do garderoby Zizi. Ramper zadźwięczał niespokojnie łańcuchem. Wyczuł intuicyjnie wrogów. Z błyszczącym niesamowicie wzrokiem rzucił się naprzód.

— Kaftan bezpieczeństwa! — rozkazał profesor Barbazin.

Trzej mężczyźni-siłacze spojrzeli po sobie. Ciężkie zadanie. Czy nie lepiej byłoby zastosować eter?... Potwór jest niebezpieczny...

— Chcą z niego zrobić człowieka! — tłumaczył pan Chocolat swej małej, złotowłosej siostrzyczce. Pięć zer przekonało go, że medycyna w dzisiejszych czasach jest wszechpotężna.

Trzej mężczyźni-siłacze zbliżyli się do Ramper'a.

Jakaś skrzynia pofrunęła do kąta.

Krzesło znalazło się w powietrzu, a z ciężkiego stołu pozostały tylko drzazgi...

— Eteru! — zabrzmiał rozkaz.

Maleńka dłoń Zizi spoczęła na kaftanie bezpieczeństwa. Nikomu nie wolno zbliżać się do jej Teddy. On pójdzie sam posłusznie. Teddy, drogi Teddy, rączka Zizi gładzi niesforne kudły. Łeb potwora powoli opada ku ziemi... Maleńka dłoń Zizi ujmuje delikatnie owłosione łapy... a po bladych policzkach złotowłosej dziewczyny płyną gorące łzy... pobladłe usteczka szepcą coś bezładnie... Teddy nakładają kaftan... zwierzę nie reaguje...

— Teddy, biedny, drogi Teddy... masz przecież być człowiekiem... choć tutaj było ci dobrze!

Trzej mężczyźni - siłacze pociągają za sobą potwora.

Wzrok Ramper'a błyszczy przerażeniem. Uczuł krępujące go więzy. Głowę podniósł w ostatniej męce. Zawył... Zizi zasłania uszy... nie może patrzeć w tę stronę... nie może słuchać...

Trzej mężczyźni - siłacze wyprowadzili skrępowanego potwora. Odgłos kół cichnie powoli wśród nocy.

— — — — — — — — — — — —

Z niecierpliwością oczekuje w złotej gondoli młody kontroler Fredy przybycia złotowłosej dziewczyny. Wreszcie odgłos dobrze znanych lekkich kroków. I Zizi z głuchym szlochem pada w objęcia ukochanego...

— — — — — — — — — — — —

Z egzystencji Ramper'a powstaje cienki, błękitny zeszyt.

„Pacjent Nr. 37".

Ogolono go. Blada twarz ludzka wyjrzała ku życiowej pustce... Blada, bezbronna twarz człowieka bez ruchu... dwoje oczu, patrzących na świat martwo...

Od tygodnia jest Ramper na kuracji.

Chwilami dreszcz jakiś dziwny przymyka mu powieki.

Chwilami, gdy leży uśpiony narkotykiem, język poczyna tworzyć coś nakształt wyrazów... a nie jest to już pełne tęsknoty uiuiui... to raczej poszukiwanie czegoś, co ongi istniało...

Chwilami wznosi głowę, jakby chciał krzyknąć coś triumfalnie... i znowu zimna powłoka lodu roztacza się wokół niego...

A w nocy huczy w uszach propeler...

Klapią wentyle...

Z za mgły wyłania się czyjaś pożółkła twarz. Ipling!!!

Jednem szarpnięciem podarł bandaże... Czuje pod sobą maszynę... sople lodu osiadają na skrzydłach, na twarzy i rękach... „Ipling, w motorze coś pęka!" Czy widzisz pole lodowe?... Ipling!

Ipling, dlaczegoś się zastrzelił?

Ipling, drogi, stary przyjacielu, zostawiłeś towarzysza samego! Północ się zbliża! Ipling, noc trwać będzie długie sześć miesięcy! Cień twój snuje się wciąż przy mnie!

„Ipling, maszynista na samolocie X. I., towarzysz Ramper'a, zaginiony. Ekspedycja ratownicza zbyteczna".

Z drżących, bezładnych słów Ramper'a Barbazin wysnuwa wnioski. Dosłyszał imię „Ipling"... reszta przyszła z łatwością.

Mieli przed sobą śmiałego pilota, Ramper'a, który odleciał do bieguna przed piętnastu laty.

Przed piętnastu laty...

Ramper stoi przed zamkniętą bramą świata. Piętnaście lat minęło. A teraz zamknięto go w sanatorjum i utrzymują, że nie wolno mu wyjść, bo musi się przedtem do życia przyzwyczaić...

Ramper stoi przed żelazną kratą. Zamknąć go chcą...

A tam za oknem wre życie... Ciemna noc przyzywa...

Krata okienna trzeszczy... Ramper stoi wśród gwaru wielkomiejskiej ulicy...

I tej nocy właśnie ujrzał świat, którego nie znał wcale dotychczas...

Ramper, odrodzone dziecię, — Ramper zbudzony do życia po latach piętnastu, odnalazł ziemię.

Ramper odnalazł wielkie miasto...

Ramper odnalazł cywilizację.

Chwiejnym krokiem przebiegał Ramper ulice. Wrzawa życia wielkomiejskiego nań parła. Widzi świat zupełnie nowy, świat zrodzony z wojennej omyłki... przez lekkomyślność potężnej maszyny czasu pchnięty naprzód omyłkowo...

Litościwa dłoń głaszcze dziecięcą twarzyczkę... dziecko śnić będzie tej nocy o błyszczących świecidełkach i pożywnej, smacznej kolacji... i przez długie dni jeszcze czuć będzie dobrotliwą rękę, spoczywającą na swej główinie...

A tam czy widzisz tę straszną twarz, po której cienka struga krwi zcieka wolno... tam walczą o bytowanie.

Padł rewolwerowy strzał.

Zwarta masa policji rozpędza tłum...

Z drżącemi z wrażenia wargami Ramper spogląda w daleką, ciemną przestrzeń... Z utęsknieniem szuka samotności...

— — — — — — — — — — — —

Dwaj asystenci profesora Barbazin'a przywieźli go z policyjnego aresztu, gdzie wraz z innymi gapiami przesiedział godzin kilkanaście.

Z zaciśniętemi pięściami Ramper stoi przed profesorem.

— Czemu wyrwał mnie pan z mego snu, doktorze? Nikogo przecież nie prosiłem o to, aby mnie uratował! Byłem szczęśliwy... A czy wie pan wogóle, co znaczy być szczęśliwym?...

— Przyzwyczai się pan do życia nanowo, — tłumaczył Barbazin łagodnie. — Znowu będzie pan miał przyjaciół... znajdzie się to wielkie „coś", które pana zainteresować potrafi.

— Nic! — szepce Ramper.

Zizi stoi w jego pokoju, — młoda, świeża, złotowłosa Zizi, — z więzią pachnących kwiatów... Przyszła zobaczyć swego Teddy, a zastała jakiegoś siwiejącego wysokiego pana, którego nie widziała nigdy i nawet lęka się go trochę...

Ramper uczuł ciepło jakieś dobroczynne... Jak to powiedział Barbazin?... Znajdzie się to wielkie „coś"...

Maleńka rączka Zizi, niby zalękniony, drżący ptak, spoczywa w dużej dłoni Ramper'a...

Spojrzenie jej jest pełne smutnego współczucia.

— Pan jest nieszczęśliwy?... — pyta.

Ramper długo patrzy w słodką twarzyczkę.

— A może... nic mi już teraz nie brak do szczęścia... — mówi wolno.

Zizi zostaje bardzo długo w pokoju Ramper'a... Słucha wolnych, dobitnych słów jego — rozumie ten straszny lęk przed światem... czuje ciągle dłoń Ramper'a, spoczywającą na jej dłoni... pragnąłby do Grenlandji zpowrotem... na poszukiwania niechybnej śmierci — nie, nie pojedzie tam więcej, — mówi do niej, do Zizi... mówi cicho... pieszczotliwie... czy ona zechce mu dopomóc do rozpoczęcia życia na nowo — nie tutaj, w mieście, lecz gdzieś daleko, w cichej farmie zielonej... Maluje tęczowy obraz słońca, powietrza... gdzie będzie można znowu odetchnąć swobodnie...

Zizi ma łzy w oczach, których on widzieć nie powinien... — Przyjdę jutro znowu! — mówi śmiało i maleńkiemi kroczkami szybko się oddala...

Ramper podniósł głowę wysoko...

— Zostaję, doktorze Barbazin, — mówi ze śmiechem. — Ma pan rację, profesorze, że do życia można przywyknąć!

Oto palto i kapelusz... Raz przecież wyjść należałoby... przejść wolnym krokiem zaludnione ulice — ujrzeć plac widowiskowy, na którym się jeszcze nie było człowiekiem... budę, w której się ongiś... występowało...

— Do widzenia, doktorze Barbazin!

Z przechadzki tej Ramper więcej do sanatorjum nie wrócił...

— — — — — — — — — — —

Ramper stoi na placu... widzi budę z dużym, wyraźnym napisem: „Teddy, człowiek-zwierzę!" — to był niegdyś on, Ramper!... a tam w głębi klatka, w której go zamykano. Ciemno i pusto wszędzie, odkąd zniknęła atrakcja.

Ramper słyszy opodal dwa przyciszone głosy... Zapiera mu oddech w piersi...

Tam... za płócienną zasłoną w głębi siedzą... Zizi i Fredy... nie widzą cię, Ramper... oni teraz wogóle nic nie widzą poza sobą... żegnają się z sobą... żegnają na zawsze...

Zizi pragnie wrócić do Ramper'a. Na drobnej jej twarzyczce po raz pierwszy maluje się odpowiedzialność...

— Widzisz, Fredy, koniecznie trzeba go ratować! On słaby... ty — ty i tak będziesz żyć beze mnie... a on nie... Fredy...

Fredy siedzi ze spuszczoną głową... palce wsunął między zęby, ażeby nie zawyć przeraźliwie z bólu...

Zizi przytula się doń...

— Wspominaj mnie dobrze... Fredy...

Ramper stoi bez ruchu po drugiej stronie płóciennej zasłony... stoi długo... godzinę może, a może dwie...

Zizi poszła.

Ramper szybko postępował za młodym kontrolerem, imieniem Fredy... wreszcie dotknął lekko jego ramienia...

— Młodzieńcze, — szepce Ramper, — pan kocha swoją Zizi — musi pan ją mieć zatem! Pozdrów ją pan ode mnie. Myliłem się. Sądziłem, że życie będzie tragedją. Wcale tak nie jest! Bardzo jest zabawnie na świecie! Bądźcie szczęśliwi — Zizi na szczęście zasłużyła!... A od czasu do czasu pomyślcie o... Ramperze...

— — — — — — — — — — — —

W dwa dni później odpłynął z „Zielonej Przystani" statek poławiaczy wielorybów „Polar Star", który niegdyś przywiózł do portu człowieka-zwierzę. W ostatniej chwili, przed podniesieniem kurtyny, przyjęto na pokład jeszcze jednego pasażera. Mówił, że nie ma zupełnie nazwiska, a kiedyś, dawno, nazywał się Ramper...

Otwarła się niezmierzona morska dal.

Zapadał powoli wieczór.

Nikнęły na horyzoncie szare kontury lądu, tego skrawka świata, który Ramper opuszczał po raz ostatni.

W kajucie pod pokładem śpiewają marynarze... Dźwięczy harmonja... Surowy, przepity głos opowiada o czarnej dziewczynie... Inne łączą się w zawrotnym refrenie... Poza pieśnią wre wielki nieuciszony świat... Dwa lata będzie się odeń zdaleka...

Czy ci dwoje będą szczęśliwi?

Ramper opiera się o balustradę... Kapitan stoi tuż przy nim.

— Nie jesteś już pan tak młodym, aby być poławiaczem wielorybów!

Ramper spogląda w wodę.

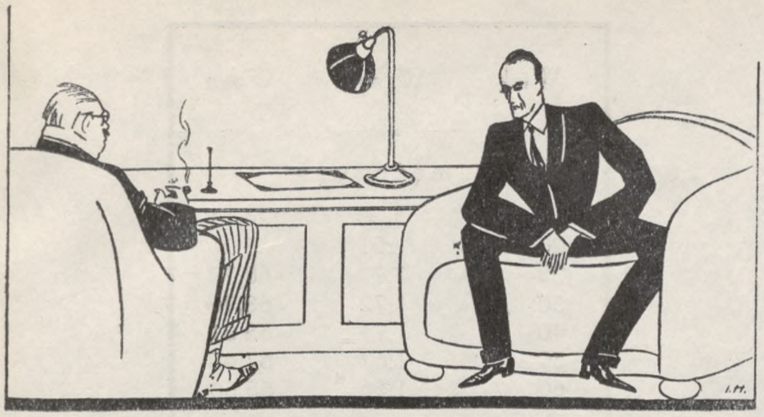
— Pech mnie prześladował w życiu — —

Ostatnie pasmo dymu niknie na widnokręgu. Dokoła samotność roztacza swe skrzydła...

Bądź szczęśliwy, Ramper! — bądź szczęśliwy!

Przekład *Janiny Krasuckiej.*

Nowela powyższa napisana została na podstawie scenarjusza filmu p. t. „Ramper, Człowiek-Zwierzę".



D. G.

KONSULTACJA

Lekarz podsunął przybyszowi miękki klubowy fotel.

Pacjent był człowiekiem nieprawdopodobnie chudym, o pożółkłej cerze i melancholijnem spojrzeniu wyblakłych, szarych oczu.

„Co panu dolega»?

«Nic, panie doktorze. Nigdy nie byłem chory. Tylko jestem smutny, strasznie smutny. Wszystko mnie martwi i byle co doprowadza mnie do rozpaczy. Co rano wstaję w złym humorze i co wieczór kładę się spać z niesmakiem. Zawładnęła mną posępnica, która od dłuższego już czasu nie daje mi spokoju. Życie moje to wegetacja».

«Cierpi pan na neurastenję. Przyczynia się do tego prawdopodobnie jakiś defekt w pańskim organizmie. Mam nadzieję, że znajdziemy lekarstwo na tę pańską ostrą hypochondrję. Proszę się rozebrać. — Czy ma pan dobry żołądek»?

«Strawiłbym skałę».

«Doskonale», — uśmiechnął się lekarz, przykładając ucho do słuchawki. — «Wątroba normalna, płuca funkcjonują wyśmienicie, serce godne zazdrości. Czy nie miał pan nigdy nadwerężonego wzroku? Chociaż refleksy najzupełniej normalne. Żadnego objawu jakiejkolwiek choroby. Jest pan zdrów, jak ryba. Cierpienie pańskie można porównać ze starożytną grecką melancholją, lub z nowoczesnym angielskim spleenem. Cierpi pan na smutek, podobnie jak inni cierpią na reumatyzm. Potrzebne są panu rozrywki. Lubi pan kino»?

«Kina nienawidzę».

«Do teatru pan chodzi»?

«Tylko wówczas, gdy mogę tam spokojnie zasnąć».

«Więc niech pan podróżuje»!

«Zwiedziłem wszystkie pięć części świata i nigdzie nie znalazłem ukojenia dla mej chorej duszy, czy to podczas portugalskiej rewolucji, czy to patrząc na powstawanie Republiki murzyńskiej. Zachwyt amerykańskich kobiet dla Chaplina nie zajmuje mnie zupełnie, tak samo zresztą, jak defilada żołnierzy chińskich. Drzewa daktylowe w Algierze sprawiły na mnie akurat takie wrażenie, jak lodowce w Grendlandji».

«Ależ pan jest zupełnie młody, może więc... kobiety»?

«Och, panie doktorze, wszystkie są jednakowe, brunetki, czy blondynki, tęgie, czy szczupłe, z długimi, czy krótkimi włosami»...

«Tak, te wszystkie... Ale jedna, wybrana, któraby pana kochała?

«Z tą byłoby jeszcze gorzej», — odparł pacjent głosem beznadziejnym.

«W takim razie» — zaśmiał się lekarz — «pozostaje panu tylko czytanie. Czytanie dostarcza człowiekowi maksimum przyjemności. Dobra książka, to najserdeczniejszy nasz przyjaciel».

«Nigdy nie czytałem prawdziwie zajmującej książki».

«Co pan mówi?! W dobrej książce odnajdzie pan wszystko, czego panu brak w życiu. Przed kilku tygodniami w tym samym dniu, w którym umarł mój najlepszy pacjent, a po południu zastałem swoją żonę w objęciach siostrzeńca, wieczorem uśmiałem się do łez, czytając jedną z ostatnich powieści Broh'a. Cóż to za pisarz! Nikt nie potrafi z taką siłą malować komicznych sytuacji! To mistrz nad mistrze! Musi mi pan przyrzec, że przeczyta pan choć jedną powieść Broh'a».

«Nie mogę panu tego przyrzec, panie doktorze» — odparł melancholijny pacjent — «ponieważ Broh... to właśnie ja».

Spolszczyła *Janina Krasucka.*

* * *

Dr. J. KACEW

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

I.

Przed wojną wydałoby się dziwnem, gdyby na łamach czasopisma nielekarskiego ukazał się artykuł o otyłości.

Na otyłość zwracano uwagę dopiero wówczas, gdy powodowała ona zaburzenia w narządach wewnętrznych (przedewszystkiem w sercu, narażonem na nadmierną pracę i otłuszczonem), lub też gdy każdy kilogram nadwagi poprostu utrudniał poruszanie się, co w szczególności dawało się boleśnie we znaki przy t. zw. płaskiej stopie (platfus).

Modną wówczas była kobieta korpulentna, zaś o urodzie kobiecej decydowała wyraźnie zaznaczona podwójna broda i należycie zaokrąglony karczek. Tempora mutantur... Gusta i pojęcia piękna są bardzo zmienne, — z «obfitości kształtów», z super-kobiecości, podług Rubensa, przerzuciliśmy się do praerafaelowskiego kultu chudzizny, a przyszłość, według wszelkich przypuszczeń należeć będzie do człowieka kształtnego, wyćwiczonego sportem. Jeżeli moda dotychczas zazwyczaj czyniła naprzekór zasadom racjonalnej hygjeny (przypomnijmy chociażby protesty lekarzy przeciwko noszeniu gorsetów), obecnie, być może po raz pierwszy, współdziała zdrowotności. Wychowanie współczesne, gimnastyka i sport wywierają niezwykle dodatni wpływ na młode pokolenie. U młodzieży obserwujemy nietylko zdrowe kształty ciała, lecz i piękne kształty nóg (krótkie sukienki!).

Ale... (znowu to fatalne «ale»!). Rozpoczął się pościg za modną smukłą linją, obawa utycia przeszła w manję. W szczególności manja ta opanowała pokolenie, które przeżyło wszystkie okropności wojny z jej wstrząsami ekonomicznemi i niedojadaniem i które obecnie, znalazłszy się w lepszych warunkach bytowania, zaczęło szybko przybierać na wadze. Odgrywa tutaj, rzecz oczywista, niepoślednią rolę i wiek, albowiem po trzydziestce organizm ludzki normalnie rozpoczyna magazynowanie tłuszczu.

W czasach obecnych, gdy mamy tylko dwie kategorje kobiet—stare lub młode, zaś wieku średniego jakgdyby wcale nie było, albowiem kobieta w wieku średnim ubiera się, strzyże się i... tańczy zupełnie jak jej młodsza siostrzyca, ten pęd do zachowania modnej linji, ta obawa utycia przekształciła się w zbiorową sugestję. Wieleż energji, godnej lepszej sprawy, traci się napróżno w wyścigu za modną linją, ileż krzywd i szkód przyczynia się ustrojowi przez środki schudnięcia, stosowane na własną odpowiedzialność i ryzyko, a zalecane przez życzliwe kumoszki.

Weźmy jako przykład chociażby chroniczną głodówkę, która zwolna, lecz pewnie prowadzi do wyniszczenia ustroju, w poszczególnych zaś wypadkach powoduje śmierć.

Tkanki ustroju, przeznaczone do wykonania tej lub innej pracy, muszą tą pracę wykonywać, w przeciwnym bowiem razie słabną i nie są już wstanie spełnić swego zadania. Światło kiszek, zmuszonych do bezczynności, zmniejsza się, żołądek przekształca się w bezwładnie zwisający worek, system mięśniowy wiotczeje i słabnie, nie ostaje się przytem nawet mięsień sercowy.

Stosowane w pewnych zakładach forsowne, pośpieszne, gwałtowne kuracje odtłuszczające, oprócz szkody dla organizmu, sprowadzają leczonym prędkie rozczarowanie, albowiem skóra, nagle pozbawiona podskórnej warstwy tłuszczu, układa się w fałdy i zwisa jak palto, które stało się zbyt szerokie.

Dlatego też, gdy ktokolwiek pragnie schudnąć, chociażby w dążeniu do modnej sylwetki pazia, niech traktuje to poważnie, ponieważ proces zarówno powstania tłuszczu, jak i jego spalania jest niezwykle skomplikowany, jest uzależniony od szeregu czynników i wymaga ścisłej indywidualizacji w każdym poszczególnym przypadku, schematyzowanie w takich razach jest nietylko śmieszne, lecz i zgubne.

Zanim przystępujemy do leczenia otyłości, musimy ustalić, jak dalece dany osobnik może zeszczupleć. Dla określenia normalnej wagi człowieka zaproponowano sporo tabel i złożonych formułek. Zacytuję tu dla orjentacji tabelę prof. v. Noorden'a.

Wiek	Wzrost	Waga
a) mężczyźni		
10 lat	1,28	26,12
20 „	1,71	65,00
25 „	1,72	68,79
30 „	1,72	68,90
40 „	1,71	68,81
50 „	1,67	67,45
60 „	1,66	65,50
b) kobiety		
10 lat	1,24	24,24
20 „	1,57	54,46
25 „	1,57	55,08
30 „	1,57	55,14
40 „	1,55	58,45
60 „	1,51	56,73

Uwaga. Na każdy dodatkowy centymetr wzrostu należy doliczać przeciętnie pół kilo wagi.

Przyglądając się powyższej tabeli, widzimy, że ogólnie przyjęte określanie wagi człowieka na zasadzie jego wzrostu, mianowicie, że osobnik winien ważyć tyle kilogramów, ile centymetrów ma wzrostu po odliczeniu metra, nie wydaje się dość dokładnem.

(O leczeniu w numerze następnym).

Druk. Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.